

Bóg Gnojarsz

Korekta: Magda Jarzębska
Copyright by Maciej Głowacki 2020
Wrocław 2020

Są bogowie tak biedni, że nie mają nawet wiary w siebie. Ich cały dobytek stanowią zubożałe świątynie jałmużnych mis i modlitwy żebracze. Trwają w swoim upokorzeniu, niby żuki gnojarsze, dźwigając kulkę świata, o którą nikt inny nie zadba, a ktoś przecież musi ją toczyć. Bądź pochwalony ty, który przechodzisz ze wzdargą obok klęczącego, mówi bóg gnojny, pochylając swoją brudną twarz ku dziurze w ziemi.

– Także wreszcie się pana nietypowe zdolności przydadzą! – zakończył tyradę sołtys, uderzając pięścią w stół.

Rozejrzałem się dookoła dezorientowany. Cztery ściany, zegar bez wskazówek, lampa gazowa i całun mroku za oknem. Gdzieś w dali obłok, jaśniejąca chmura gazu nad Lasem, która zaraz zamigotała i zniknęła bez śladu. Znowu przysnąłem w trakcie rozmowy.

– Przepraszam panie Bieniasz – odpowiedziałem, wstrzymując ziewnięcie. – Ostatnio nie sypiam prawie wcale. Wypadłem chyba z rytmu po świątecznej wycieczce. W zasadzie to o co się rozchodzi?

Sołtys pokręcił głową, większość czasu tylko skubał wąż i spoglądał z dezaprobatą na wszystko, łącznie z własnym odbiciem w szklance herbaty. Na moment wstrzymał się, myśląc zapewne nad tym, czy jest sens powtarzać mi wszystko, czy tylko fragmenty rozmowy. Upił łyka, chwytając za metalowy koszyk, odstawił naczynie na stół i westchnął długo z wyraźnym rozczarowaniem.

– Ośluchany pan jest i po tych kilku miesiącach już chyba wie... Jak się sprawy u nas mają. A ludzie we wsi zaczynają przebąkiwać, że pan nie ma zamiaru nawet wyjeżdżać stąd do Warszawy...

– Bo nie mam – wciąłem się.

– Ludzie gadają... – odparł Bieniasz, wznosząc ręce pokojowym gestem. – Pan swoje, ludzie swoje. Chodzi o to, że dobrze by było, jakby pan nas wsparł w tej jednej sprawie, nie to, że odpłatnie, ale tak w ogóle.

– Czyli za darmo?

– Ja świecę kolanami, żeby za panem nie węszyła milicja. Jak kury na grzędzie siedzimy i udajemy, że nic się nie dzieje, nawet nikt nie piśnie, że pan u nas się ukrywa. Je pan za nasze, w kominku pali naszym, nawet w obejściu roboty nie ma, bo po starym Romku to, co zostało, tośmy przygarnęli większość.

– I za to jestem wdzięczny – rzuciłem bez przekonania, ponownie wpatrując się w okno z widokiem na Las. Niebezpiecznie tak często tam chodzić, człowiek się może...

Uzależnić od tego dobra. – To ostatecznie, w czym jest rzecz, do sedna. No i najważniejsze, na kiedy ta robota?

– Robota jak zawsze, nie ma pośpiechu... Jutro z samego rana wyruszysz.

Przewróciłem oczami. Typowo, niby na wiosce nikt się nie śpieszy, ale usiąść chwilę i odpocząć to nigdy nie ma czasu. Zawsze myślałem, że zima to czas siedzenia w domu, zwłaszcza na początku stycznia, bo ziemia zmarznięta, śnieg pada, wiatr wieje, nie ma co robić... Ta, jasne, wszystko pic na wodę.

– Mamy tranzyt między wsią a Suchym Gajem – wyartykułował dokładnie sołtys, jakby szczególnie mu zależało na tym, bym zapamiętał. – To dosyć bezpieczna droga, na tyle, że zabieramy ze sobą biedki, by przewozić towar w jedną i drugą stronę.

– Konie też bierzecie do Lasu? – spytałem szczerze zdziwiony. Bałem się do Lasu zabierać chustki do nosa, bo każde obciążenie mogło zwrócić uwagę kogoś z lich lub zwyczajnie przeszkodzić w ucieczce.

– Nie, robimy sami, nie ma tego tak dużo. To tylko wózek ciągnięty na zmiany, zimą jest trudniej, to akurat fakt. Jak jest śnieg, to bierzemy sanie i płozy pomagają. Natomiast zazwyczaj wystarczy podjechać do studni między piętrami Lasu, tam poziomy halucynacji ciągną ledwie lekko do barycentrum, w którym zrobiliśmy piwniczkę.

– Piękny ten nasz układ Lasu, prawda? – parsknąłem śmiechem, bo przecież jakiegokolwiek wytyczanie stałych tras i punktów względnego bezpieczeństwa w Lesie, to zwyczajnie bajka i pożywka dla głupich. Las był w ciągłym ruchu, dążący do nieskończoności, stale rozszerzający się od matecznika i kurczący przy granicy swojego mikroskopijnego wszechświata.

Sołtys chwilę pokręcił szklanką, zamyślił się nad czymś, co wykraczało zapewne poza nas, temat naszej rozmowy i pewnie całe Choły. Wreszcie ocknął się, gdy naczynie niemalże wypadło mu z rąk przez nieuwagę.

– Pójdiesz z dwoma Saprofitami – podjął wątek ponownie – i dowiesz się, dlaczego nasz dostawca w Lesie, nie zostawił w piwniczce martwodrzewu. Przyszła zima, opalamy tym, co mamy, czasem brakuje węgla, a wiadomo, jak jest u nas.

– Drzewa nie zetniesz – dokończyłem za Sołtysa. Przez moment milczeliśmy razem, aż wstałem od stołu i położyłem dłoń na szybie. – A Luscia?

– Znika na nowy rok, wraca po tygodniu – powiedział od niechcenia. W odbiciu szyby mogłem dostrzec jego zafrasowane oblicze. Z czasem, mieszkając w Chołach, zacząłem zauważać, że ma specyficzny wyraz twarzy, gdy mówi o swojej córce. – Pan doktor

musi nas zrozumieć, my nie lubimy zmian, a zmiany nie lubią nas. To przecież takie delikatne i kruche jest wszystko...

– Ja rozumiem – podniosłem głos. – Tylko naprawdę nie chcę ryzykować życia za ekwiwalent wozu z węglem, to chyba nie jest takie trudne do zrozumienia?!

– Jestem prostym sołtysem...

– Zaczyna się...

– Nie przerywaj mi pan, jak tłumaczę! – Bieniasz wstał od stołu i zatrzymał się tuż za mną. Mogłem poczuć jego pachnący ciecierzycą oddech na karku. – Przez lata trzymania pieczy nad naszym zakątkiem świata widziałem to co najgorsze w Lesie i to, co najgorsze w naszym świecie. I panie Drozd, zaufaj mi przez jedną chwilę i nie myśl, że wiesz lepiej, wśród lich też są ludzie i wśród ludzi czają się licho.

Obróciłem się i zmierzyłem wzrokiem jego wąsatą twarz. To mróz, czy oczy mu się zaszklily? Pomyślałem przez chwilę, ale zaraz po prostu pokiwałem głową.

– Zgoda, dwóch ludzi, Saprofitów porządných, tak? Potrzebne będą utensyilia, pożytki i ochraniacze ze skóry dzika, bo po ostatnim razie szkoda mi kolan i łokci. – Podrapałem się po głowie, spojrzałem jeszcze raz na odległy Las i spytałem. – W zasadzie to, kogo idziemy odwiedzić w mateczniku?

– Żuczysko – wysyczał z obrzydzeniem sołtys.

* * *

Nadal jest w nas coś z naszych przodków, pomyślałem i położyłem dłoń na framudze okna. To musi być naturalne, jak gniazdo dla ptaka albo gawra dla niedźwiedzia. Ot sawanna dla ludzi, wielka, pusta przestrzeń, odległe giganty drzew, ledwie wykałaczkę w perspektywie widnokregu. Diorama wielkiego Lasu, przez którą można pędzić na przestrzał, labiryntem drzew, oceanem zieleni, katedrą o nawie z liściastych koron.

– Zimno – mruknąłem sam do siebie i odsunąłem się od okna. – Jezu Chryste, jak tu jest zimno.

Rano dogasła koza, a ja zbudziłem się w rozkopanym łóżku z kołdrą na podłodze. Przemarznięte stopy z pewnym opóźnieniem stwierdziły, że wypadaloby powiadomić mózg o tym, że od kilku godzin marzną. Przez moment zastanawiałem się, czemu nie boli mnie głowa, ale potem przypomniałem sobie, że zamiast upić się do łóżka, po prostu tankowałem gorącą herbatę z prądem dla nawodnienia i rozgrzania.

Potarłem o siebie stopami, już przyobleczoneymi w grube skarpety, i zatarłem ręce. Nie mogłem odlepić wzroku od pól, rozciągających się za granicą zmarzniętego strumienia, który oddzielał mój skrajny domek od ponad kilometrowej drogi, prowadzącej przez nieużytki aż do Lasu.

Wszystko zasypał śnieg. Tak jak przez ostatni tydzień było po prostu mroźno i wietrznie, tak teraz wysoki do kostek puch utrzymywał się jednolitą, równą warstwą. Ba! Nawet jeszcze padało, a termometr za oknem pokazywał solidne dziesięć stopni na minusie.

Jeszcze te wzory wyrysowane w śniegu. Od wioski do ściany Lasu ciągnęły się setki metrów spiral i fikuśnych linii, tworzących skomplikowane, geometryczne figury, których pochodzenia i znaczenia nie znałem. Kilka bab ze wsi potrafiło z tego odczytać pogodę na najbliższy tydzień, ale jakoś im nie wierzyłem, bo... Bo nie i tyle. Nadal miałem opory przed niektórymi elementami lokalnego folkloru. To, że się nie mylili w jednych kwestiach, nie znaczy, że nie będą w innych, prawda?

Myślałem o tym, co mi mówił ubiegłego wieczora Bieniasz. Zuczysko, tak powiedział? Chyba tak. Jak to zwykle bywa na wiosce, do szczegółów się nie kwapił, bo szczegóły zdradza się tylko przy wódce, a Bieniasz ze mną pić nie lubił, bo w końcu jestem *yntelygent* z miasta i mam siano we łbie.

– Jednak człowiek – szepnąłem do siebie poważnie, siadając na chybotliwym krześle. – Mają człowieka w Lesie i tak sobie z nim handlują. Ot, kurtka na zimę, jedzenie, paliwo, a w zamian martwodrzew, towar de facto ekskluzywny, bo innego drewna nie wolno palić pod okiem Lasu, nie zawsze można załatwić z zewnątrz, a nawet jak można to są pewne ograniczenia. I przecież Pień też taki był, ale nie chciał z nimi handlować i co... I tak go po prostu ubili, tak? I nadal nie mogę o tym zapomnieć, a teraz mnie wysyłają, bym postraszył kolejnego. Pieprzona wiocha, góra trzysta głów, a zachowują się jak imperium zamorskie. Rzeczy niepojęte i wykraczające poza nasz wszechświat sprowadzają do prostego popytu, podaży i pięści przystawionej do brody.

Zaparzyłem herbaty, upiłem łyka, obejrzałem swoje nowe, ocieplane buty, które dostałem za jedną robótkę dla starej Drzymalskiej... A w głowie dalej miałem brodatą, szeroką twarz Pnia, którego osądzili, skazali i zabili na miejscu, bo tak zdecydował jakiś konował w okularkach.

Nikt tak nie walczy z przyrodą, jak ludzie, którzy muszą z nią żyć. Jak byłem jeszcze pędrakiem, ledwie do podstawówki chodziłem, to szczerze myślałem, że ludzie na wsi kochają naturę. Nic bardziej mylnego. Każdy ptak to szkodnik, każde zwierze to darmozjad lub potencjalna żywność, a drzewo, które nie owocuje, musi być złamane.

Może dlatego darzyłem pewnym szacunkiem, czy nawet empatią sam Las? Był z innego wszechświata, który przywędrował na naszą planetę i ugiął się, stale dźwigając nasze prawa fizyki i chemii, czy nawet matematyki. Bo przecież Las też się bronił, też chciał żyć. A z drugiej strony, Las sam wykarczował sobie miejsce pod swoje życie, traktując naszą planetę jako przerażający świat terroru, gdzie panowało dzikie bezprawie, a wszystkie zmysły były wygłuszone lub bezużyteczne.

Dopiłem herbatę, ubrałem się i zaciągnąłem szelki plecaka. W ostatniej chwili, jakby nie wiadomo jakim cudem zapomniawszy wcześniej, przypomniałem sobie o najważniejszym narzędziu, moim złamanym porożu o jednej krótszej tyce. Przywiązałem do niej dwie zielone wstążki i wypastowałem kość dziwnym śluzem, zakupionym od lokalnego Saprofity. Rzekomo miał impregnować maskę i faktycznie, dzięki niemu wyglądała ona jak zrobiona z jasnej, perłowej masy.

Już miałem wyjść z domu, ale ostatni raz usiadłem jeszcze w krześle zgodnie z obyczajem. Czuję się jak idiota, ale przesady ratowały życie, tak długo, jak znało się ich pochodzenie. Na parapecie tkwiła w ułamanej doniczce paproć, smętnie chyląca się ku upadkowi. No tak, nie podlewałem niczego, a nawet taki chwast kiedyś wody potrzebuje. Nie prosiłem się przecież o ten domek, więc czemu miałbym zajmować się jego roślinami?

Po kilku głębokich wdechach ostatecznie opuściłem swój względnie bezpieczny zakątek, zdejmując ze ściany sierp i poprawiając Tokariewa w kieszeni. Ze wszystkich rzeczy, które można było zabrać do Lasu, broń była tak naprawdę jedną z najmniej użytecznych. Zawsze lepiej jest coś ominąć, dogadać się lub uciec – w tej kolejności. Walka nie to, że była ostatnią rzeczą w kolejce, ona była po prostu poza równaniem, które brało pod uwagę bóstwa.

Bramka skrzyknęła złośliwie, jakby celowo tak głośno jak się dało. No dalej, naoliw mnie, niby krzyczała, przecież zasługuję. A ja nadal nie czuję się gospodarzem, ba, nie byłem nawet gościem, a wciąż intruzem. Na zachowaniu niczego mi nie zależało, to też zachować nic nie mogłem i skazywałem się na wieczną wegetację w mimowolnie odziedziczonej, zardzewiałej i zbutwiałej ruinie.

Ku własnemu zdziwieniu minęła mnie scenka wyjątkowo ciepła i budująca, tak nietypowa dla Chołów. Banda dzieciaków jechała w kuligu na wypchanych czymś workach zamiast sanek. Za linę ciągnął siwy, starutki koń, stukając wesoło kopytami do wtóru pisków szczęśliwej dziatwy.

Cóż, to w końcu nadal byli ludzie, a dzieciom nie wolno odmawiać rozrywki, pomyślałem, kierując się do granicy wioski.

Czekali na mnie we dwóch. Śnieg chrząścił przyjemnie pod podeszwami, wiatr wzniecał drobną zadymkę, a ja kroczyłem w kierunku wysokich sylwetek w szerokich, szarych płaszczach z wilczych skór. Jeden z nich miał już na sobie jelenie poroże, dziesiątak niekoronny z naciętymi opierakami, przez które przewiązał białe wstążki. Stał tak oparty o spore sanie, na których piętrzyły się kanciaste skrzynie, opięte zaśnieżoną plandeką. Ten drugi był znacznie ciekawszy, trzymał swojego młodszego, mniej imponującego szóstaka za pasek do mocowania pod szyją. Wszystkie sześć różków było koloru ciemnego drewna, ciężko powiedzieć czy naleciały osad brudu, czy celowa impregnacja.

– Gotowi do drogi? – spytałem, bo przecież to ja miałem być tym bardziej gadatliwym. – Wszystko macie?

– Mamy – odpowiedział krótko ten z szóstakiem, poprawił chwyt na porożu i wyciągnął ku mnie wolną rękę w ocieplanej rękawicze. – Szakłak, a to Jałowiec.

– Drozd. – Ucisnąłem mu rękę i przez moment miałem wrażenie, że nie chciał mnie puścić. Może przypadek, a może złośliwość? Takie dokazywanie, pokaz siły, typowe. Jednak miałem to głupie, niczym nieoparte wrażenie, że dosłownie się do mnie przysał, by sprawdzić, jak ciepła jest moja ręka. – To co, szykujemy filtry i...

– Nie tak szybko, jeszcze to. – Szakłak sięgnął do przepasanej dwoma linami, długiej tuniki ze skóry, którą krył pod wilczym ponczo. Wyjął zawiniątko rozmiaru pięści i pchnął mnie nim w mostek. – Przyda się na potem.

Chwyciłem za sakiewkę zrobioną z jakiejś wyciętej, starej ceraty w kropki i ku mojemu zaskoczeniu dostrzegłem cukier albo inny biały, skryształizowany proszek. Nie sposób było ocenić gołym okiem. Próbowałem ją oddać Szakłakowi, ten pokiwał głową, więc po prostu schowałem zawiniątko do kieszeni spodni.

– Bieniasz wczoraj mi dał chabry bławatki, starczą w jedną i drugą stronę.

– To nie jest do spożytkowania, to nasza karta przetargowa – mruknął Szakłak i zaczął nakładać maskę. Jałowiec po prostu ruszył, jak gdyby nigdy nic, zupełnie tak, jakby ciągnięcie sań za gruby, jutowy sznur mu nie przeszkadzało w niczym.

Słońce ledwie sięgało dolnym, bursztynowym krańcem linii horyzontu, pokrytego jak okiem sięgnąć skrzącym puchem. Było wcześniej, serce podchodziło mi do gardła z nerwów, jak zwykle przed wejściem do Lasu. Moim towarzyszom było to wszystko obojętne. Wydawało mi się, że mieli wyprawę za nic, ot robota jak to robota. Wstali z rana, ubrali się, Szakłak zabrał krótki łuk, Jałowiec siekierę i dwa noże, wypastowali maski, wyczyścili skóry, ochraniacze, przepłukali filtry, zmielili bławatek. Tyle wystarczyło, by byli gotowi ruszyć w

kierunku niemożliwego do objęcia ludzkim rozumem, nieskończonego oceanu potworności i majestatu, jakim był Las.

Cóż, może gdybym się tu urodził, tak jak oni, to też uznałbym to za część życia. Zasiew, zbiory, licha i potwory, obrzędy, rytuały, msze oraz karnawały. Wszystko było częścią cyklicznego, rytmicznego życia w Chołach.

Stałem tuż przed ścianą gargantuicznego Lasu. Tego dnia fasadę stanowiły wyniosłe na dziesiątki metrów sosny o silnych, licznych gałęziach z wielowarstwowymi parasolami igieł i girlandami szyszek. Coś zawyło spomiędzy drzew, wesoło, niemalże figlarnie jak odległy krzyk dziecka, zjeżdżającego na sankach.

Nie, nie przyzwyczaiłbym się nigdy.

Sprawdziliśmy szczelność masek, docisnęliśmy wstążki i wkręciliśmy filtry z pożytkami. Droga była ponoć prosta a zgubienie się raczej mało możliwe, ale i tak odruchowo Szaklak i ja położyliśmy ręce na ładunku sań. Gdybyśmy mieli nurkować, to przynajmniej razem, zmieniając piętro całą grupą.

Wiatr zawiął mocniej, syjąc lepkiem puchem prosto w zagłębienia masek. Obejrzałem okolicę prawym, szklanym wizjerem i lewym, którego zewnątrz pokrywała zaschnięta żywica. Bursztynowa poświata na drugim oku pozwalała na zajrzenie w inne poziomy Lasu, lecz tuż na jego granicy nadal zdawała się być ledwie poźółkłym filtrem, jaki nakładał się na świat, niczym przy patrzeniu przez dno butelki.

Wchodzenie do Lasu przypominało zanurzanie się w jeziorze. Wpierw wydaje się, że to całkiem dobry pomysł, czysta woda, przewidywalne spektrum możliwych wydarzeń i okoliczności, skończona liczba egzemplarzy fauny i flory. A potem okazuje się, że jezioro jest tylko pozorne, woda delikatnie sunie własnym, przydennym rytmem i ściąga wszystko w kierunku ujścia, gdzie szumi wodospad. Wpierw próbujesz wyjść na bezpieczny brzeg, ale spostrzegasz, że pod twoimi stopami zapada się muliste dno pełne krzewów. W pewnym momencie rośliny zaczynają haczyć o nogi, aż w końcu dochodzi do ciebie, że to nie pojedyncze zahaczenia gałęzi i wodorostów, a celowe chwytaki rozumnych i drapieżnych kończyn, kryjących się pod powierzchnią błota z mączki kostnej. Dalej docierasz do wodospadu, przez moment jest uczucie spokoju, porównywalnego z ukończeniem ablucji lub wypowiedaniem się w niedzielę; przynajmniej tak mi mówiły duchy. Na końcu jest tylko lot w miriady turkusowych, oranżowych oraz szmaragdowych liści i miękkiej, ciepłej kołki w wiecznym spadaniu przez próżniowy ocean bez dna, jakim jest Las.

– Stop – pokazał w migowym Szaklak.

Uszedłem jeszcze kilka kroków w zamyśleniu i przystanąłem. Coś było nie tak, tuż przede mną ziała fala gorąca, silnego, miarowego jak z rozpalonego pieca. Uszy jakby załaskotały mnie, próbując odebrać jakiś niewystępujący na Ziemi bodziec, odczucie znane jedynie stworzeniom Lasu.

Szliśmy ledwie chwilę, a przynajmniej tak mi się wydawało. Wpadłem w trans, w myślach powtarzałem kilka zapętlonych wierszy, pomagających organizmowi trzymać się wejściowego piętra, które nazywałem domyślnym bądź zerowym, za co zwykle łajali mnie Saprofici. Według nich nie było sensu liczyć pięter Lasu, ale ja potrzebowałem przynajmniej pozornego porządku.

– Nie ruszaj się – zamigał bardzo powoli Szakłak, robiąc rękoma ruchy tak ospale, jakby uczył języka wyjątkowo nieporadnego ucznia.

– Rozumiem przecież – odpowiedziałem bezgłośnie, bo wpierw myślałem, że próbuje mnie obrazić, że tak słabo znam migowy.

To był błąd.

Coś przewróciło mnie na plecy. Runąłem w śnieg i odruchowo zdławiłem krzyk, wiedząc, że jest niezwykle mało sytuacji, w których on bardziej pomaga, niż przeszkadza. Jakaś niewidzialna siła przycisnęła moją głowę, zatapiając mnie w głębokim puchu. Nikt się nie ruszył, nikt nic nie zrobił. Ja również zawierzyłem losowi i po prostu cicho, powoli oddychałem, próbując nie zniknąć z piętra.

Wreszcie nacisk zelżał. Rozejrzałem się, nie próbując jeszcze wstać, ale ani na wyższym, ani na równym piętrze niczego nie spostrzegłem. Szakłak i Jałowiec stali po mojej lewej, nadal trzymając się sań. Dookoła nas były tylko wysokie drzewa o szerokich pniach i korona Lasu, przez którą mocno przebijało słońce.

I wtedy go usłyszałem. Nie chciałem się obracać, ale nagle wyczułem zmianę ciśnienia, a potem krok, jeden, masywny, choć i tak stawiany z gracją. Uderzenie, kolejne uderzenie, mruknięcie tak głębokie, że załaskotało mnie w żołądku, zdławiony w znużeniu pomruk, jeszcze jedno uderzenie i tak kilka razy.

Wreszcie zdobyłem się na odwagę i powoli wstałem. Szakłak machnął na mnie ręką, bym leżał, Jałowiec po prostu stał jak słup soli, w tym chyba najlepiej się zresztą odnajdywał.

Obróciłem się i dojrzałem w śniegu ślady, głębokie, idące do samej, zmarzniętej, pożółkłej trawy i runa leśnego. Sunąc dłonią po plandecę ładunku, obszedłem sanie i spostrzegłem wreszcie niezwykłego intruza, który zatrzymał naszą karawanę.

Co mogę powiedzieć? Że był wielki? Banał, no był i co? Co to znaczy wielki? Wielki jak na co? Ano na tyle wielki, że jakby go przykryć taką samą płachtą co sanki, to pewnie

bym pomyślał, że ktoś zaparkował Żuka. Był gigantycznym, przygarbionym, idącym na czworaka tytanem, obrośniętym futrem jak płaszcz z mahoniowych szczap! Na jego plecach odbijały się refleksy słońca i złocistych wzorów, niby naturalnego kamuflażu, przypominającego cętki geparda. Nazwać to coś niedźwiedziem, to jak nazwać lwa kotem, lekko mówiąc, niedopowiedzenie.

Miś zrobił dwa okrążenia wokół naszych sań i zatrzymał się przed Szakłakiem. Nagle stanął na tylnych łapach, łbem sięgnął na kilka metrów wzwyż, zadarł pysk i ryknął z taką mocą, że śnieg posypał się z koron drzew. Okrzyk pomknął echem w głąb Lasu, odbijając się zwielokrotnioną siłą. Dźwięk był tak potężny, że przez moment miałem przed oczami kolorowe mroczki, jakieś powidoki jaśniejących kształtów, spowodowanych przebodźcowaniem mózgu. W ramach puenty, gdy już zapadła cisza, gdzieś w oddali zagrzmiało przewracane drzewo.

Nawet najbardziej brutalne i prymitywne lica z Lasu miały w sobie cząstkę tej obcej boskości, coś niepoznanego, pochodzącego z innego świata. Ich ciała tylko pozorowały rzeczy, które znaliśmy. Byli przecież jedynie artefaktami przybyszów, maszynami, utrwalonymi procesami, a czasem po prostu odpadkami.

Niedźwiedź spojrział na nas jeszcze raz, parsknął gorącym powietrzem z nozdrzy i zniknął. Rozbrzmiały oddalające się kroki, śnieg przez moment wirował i przybierał fantastyczne kształty, aż w końcu wiatr zawiał żywiołowo, wręcz ekstatycznie i zmienił całą okolicę w posrebrzaną scenkę rodzajową. Trzy pokryte bielą postaci dookoła kanciastych sań, otoczonych bezmiarem swobodnie rosnących iglaków.

– A mógł zabić – skwitowałem bezgłośnie i otrzepałem się ze śniegu. Już po chwili nowa warstwa zastąpiła poprzednią, więc po prostu zaakceptowałem lgnący do mnie zimowy całun. – Co to było?

– Niedźwiedź – odpowiedział krótko Szakłak, machnął ręką na Jałowca i wrócili do miarowego, rytmicznego marszu.

– Zwyczajny?

Szakłak mruknął coś na głos w odpowiedzi, ale tak cicho, że nie dało się go nawet dosłyszeć spod maski i ciągle dującego wiatru. No tak, głupie pytanie, pewnie, że nie był zwyczajny, ale nawet niezwykłości potrafiły wpisywać się w pewne kanony świata spoza Lasu. To było coś, co przypominało jedynie niedźwiedzia i nie ocaliły nas rytuały, wstążki, poziomy halucynacji, mantry i ochraniacze, ani na pewno nie broń, po którą nawet nikt nie pomyślał, by sięgnąć. Ocaliło nas cokolwiek, co wcześniej zjadł niedźwiedź, bo nie był głodny, koniec historii.

Nic by go nie kosztowało przetrącić nam karki łapą albo zaciągnąć ciała do gawry i odłożyć na później. Na pewno nie miał żadnych skrupułów, on po prostu wziął tyle, ile potrzebował i ani grama więcej. Dziwna sprawa, może po prostu tak działa natura.

Droga nie była wcale taka krótka, jak się tego spodziewałem. Oczywiście, miałem też inne standardy od zahartowanych Saprofitów z Chołów. Dla mnie te kilka godzin wędrówki w śniegu i wietrze, wyciągając co rusz nogi z wijących się pod śniegiem korzeni i Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze, były wystarczającą ilością wrażeń na jeden dzień. Mimo to słońce dalej dumnie wspinało się po nieboskłonie i tylko czasem budziłem się z transu, z zatrwożeniem dostrzegając, że zachód zmienił się we wschód, a północ w południe. Takie były realia, z tym trzeba było żyć.

Las był coraz głębszy, ale zimowa aura nie nadawała mu typowego, głębinowego zabarwienia brudnego akwarium. Powietrze nadal jawiło się jako przejrzyste, rześkie, powiedziałbym, że nawet pełne. Zupełnie tak, jakby oddychanie poza Lasem stanowiło jedynie jakiś ułamek tego, jak się oddycha w Lesie i to biorąc pod uwagę warstwy filtrów i masek.

Im dalej szliśmy, tym częściej zmieniało się otoczenie. Nawet nie chodziło o to, że w większym stopniu, to nie był jakiś prostoliniowy przyrost. Natomiast właściwie co chwilę spostrzegałem, że wszystko jest inne i wtedy z lękiem kurczowo chwytalem się plandeki sań. Zgubienie się między piętrami Lasu nadal prześladowało mnie w snach, przynajmniej wtedy, gdy je miałem.

Będę musiał brać coś na sen, pomyślałem, albo zacznę palić na sen i palić na wybudzenie. Na pewno coś się znajdzie, autochtoni spod wioskowego sklepu pili i palili całymi dniami, a na pewno nie było to wszystko w stu procentach naturalne. Naturalne, o ile to słowo jeszcze mogło cokolwiek znaczyć, gdy za miedzą rozciągał się obcy wszechświat.

W pewnym momencie z zadymki zaczął wyłaniać się kształt, coś na wzór ogromnego łuku skalnego, który w oddali przelewał się nad naszą ścieżką. Gdyby nie Szakłak i Jałowiec to nawet nie wiedziałbym, że szliśmy jakąś drogą, bo stale kluczyliśmy między drzewami. Sanie sunęły gładko, niemalże bez przeszkód, jakby Jałowiec ciągnął je tędy codziennie, a jego trasa wrosła w matrycę leśnego królestwa.

Coś zafalowało w przestrzeni, rozległ się wzmożony szelest, jakby ktoś tarł kamieniami o siebie, chrobotał z ogromną prędkością, może nawet ostrzył coś o osełkę? Dopiero zaraz moim oczom ukazał się długi, biały kształt, jak rura o przekroju naczepy ciężarowej. Z każdym krokiem obraz wyostrzał się, aż w końcu coś strzeliło w osnowie

świata, dosłownie pękło w moich uszach i przeniosło mnie na kompletnie inna głębokość leśnego nurkowania.

Z przerażeniem obejrzałem się na resztę, ale Szakłak i Jałowiec po prostu szli, trzymając się sań, tak samo jak i ja.

Więc to nie my zmieniliśmy piętro, pomyślałem, to co się zmieniło?

Przez wypchane bławatkami filtry doszła do mnie jakaś kompletnie obca i niezwykła nuta zapachowa. Coś śmierdzącego, ciężkiego jak spaliny, smog i siarka. W pierwszym odruchu chciałem zasłonić usta, ale przecież i tak nosiłem moją czaszkę, więc nie było czego zasłaniać. Po reakcji reszty widziałem, że też to poczuli, ale nie zwrócili aż tak uwagi.

I wtedy podeszwa zatarła o asfalt. Z rozpędu zrobiłem jeszcze krok, obróciłem się i zrozumiałem, że idziemy autostradą. Dwa pasma świeżej, wyremontowanej drogi w jedną stronę i dwa w drugą. Autostrada? Tak po prostu w Lesie?

Śnieg już dłużej nie padał, zrozumiałem to, gdy płozy naszych saneczek zaczęły rzeźnić o suchą powierzchnię, krzesząc mikroskopijne, ledwie widoczne iskierki. Ślad białego puchu był niemalże odrysowany, wycięty nożem. Wyglądało to, jakby ktoś położył szklanekę na stole, posypał wszystko mąką, a potem podniósł naczynie z powrotem. Byliśmy w nieośnieżonym, cieplejszym i znacznie dziwniejszym miejscu niż chwilę wcześniej.

To, co jeszcze niedawno wydawało mi się rurą, bądź łukiem skalnym, teraz było po prostu nitką autostrady, idącą wiaduktem ponad nami. Wysokie na kilka metrów, betonowe kłocze w kształcie smukłych liter T, niosły na swoich barkach suchy kawał drogi. O całość nie opierał się nawet najmniejszy załazek roślinności.

Dopiero po chwili dostrzegłem wyłaniające się zza gęstej, mlecznej poświaty kształty samochodów, przypominające bardziej zawieszony w żywicy owady. Zupełnie tak jakby wszystkie wycięto z rzeczywistości i zamrożono w tych pozach, stawiając zresztą pod prąd.

Chciałem nacisnąć butem na jedną z opon, by sprawdzić, czy jest napompowana. Coś chwyciło mnie mocno za ramię i pociągnęło w tył. Szakłak przyłożył palec do ust i pokazał, że lepiej jest nie ruszać samochodów.

Wyglądały jak nowe, ale nawet to nie było w nich najdziwniejsze. Były kolorowe, smukłe, nisko zawieszony, aerodynamiczne, a czasem nie. Czasem to były zwykłe, kanciaste ciężarówki z oliwkową plandeką na stalowych łukach. Mimo to żaden z samochodów nie wyglądał realnie, nie przypominały tych, które ja znałem.

I gdy już mieliśmy się zagłębić w zacienione, wilgotne trzewia wiaduktu, przypominającego mroczną grootę, dostrzegłem znak. Szeroki, jaskrawozielony prostokąt, na którym widniały trudne do odczytania, przelewające się jak mleko w szklance, białe znaki.

Obrazki podpowiadały niewiele, ciągi przypominających drut ostrzowy symboli nie mówiły mi absolutnie niczego, ale w końcu dostrzegłem coś możliwego do odczytania i poczułem, jak serce staje mi w bezruchu.

– Ginza, Szindzuku, Jokohama, Haneda... – szepnąłem sam do siebie, sylabizując z trudem słowa i zagłębiłem się w mrok przejścia.

Szakłak i Jałowiec wyjęli swoje latarki kątowe i zawiesili je na zaczepach w okolicy piersi. Ja swojej zapomniałem, więc po prostu chwyciłem się mocniej sań, patrzyłem pod nogi i próbowałem przetrwać, co właśnie widziałem.

Nazwy brzmiały tak egzotycznie, obco. Jeden alfabet był na pewno łaciński, kalecząc koszmarnie, nie znając wymowy, ale mogłem przynajmniej zrozumieć, na jakie litery patrzeć i może byłbym w stanie przepisać z pamięci co widziałem. Czym był pozostały system znaków? Aż strach się przyznać przed samym sobą, ale... To chyba był jakiś azjatycki język, choć nie wiedziałem jaki.

Nie, bzdura, pomyślałem, widziałeś to, co Las chciał, żebyś widział. To miała być krótka i prosta droga. Lepiej sprawdź, czy filtry jeszcze się trzymają. Cieknie ci z nosa, halucynacje masz i tyle. Pewnie kiedyś w telewizorze widziałeś takie znaczki w jakimś programie o krajach Azji i tyle. Nie mogłeś tego widzieć, bo to przecież... To przecież tak nieludzko daleko, prawda? Tysiące kilometrów to dla mózgu dalej niż wszechświat.

Wtem zabrzmiał trzask przekładanej wajchy, zasilanie syknęło wzdłuż ścian i oślepiający blask reflektora wyrzucił dziurę w mroku. Staliśmy tak w plamie jasności, kuląc się od nagłej supernowej, która zmieniła przejście pod autostradą nie do poznania.

To, co wcześniej zdawało mi się pustymi, betonowymi fasadami, teraz błyszczało barwami graffiti, malunkami i ozdobnymi girlandami z papieru.

Porażony wzrok z trudem próbował przyzwyczaić się do sytuacji. Ręka panicznie szukała pistoletu, ale moi towarzysze wydawali się być nieporuszeni, cały czas w transie, rutynie, jakbyśmy wciąż podróżowali między piętrami.

Jałowiec bez słowa poklepał mnie po ramieniu i wskazał gdzieś przed siebie. Z trudem próbowałem skupić wzrok, który i tak zwykle mieszał się przez bursztynowy filtr. Teraz na domiar wszystkiego widziałem jedynie ciemne plamy, przesłaniające przemysłowy reflektor, nad którym unosił się rozgrzany kurz.

Trzy wysokie, smukłe sylwetki, a nie żadne nieokreślone kształty, to właśnie one stały pomiędzy mną a źródłem światła na sporym podwyższeniu. Widziałem ich długie, kremowego koloru futra z gęstych włosów, spływających do samej podłogi. Znad pleców wystawały im kije... Nie, włącznie o bardzo długich, wąskich grotach z dziurami, przez które

nanizano czerwone i pomarańczowe wstążki. Wszystko klarowało się jak tafla jeziora, która po nagłym wzburzeniu stopniowo, harmonijnie odzyskiwała swój pierwotny kształt.

Aż wreszcie dostrzegłem ich twarze. Lisie maski, ale tak dalece inne od tych, które nosili Chołownicy czy Cisi. Maski obite cienką warstwą futra, wymalowane w karmazynowe wzory, ze sterczącymi, wypchanymi uszami zamiast poroża, i małymi, żółwimi skorupami, służącymi za osłonę potylicy. Tacy niepodobni do innych Saprofitów, a przecież widziałem, że pod warstwą pięknie szytych i wygodnych, ciepłych ubrań, znajdują się ludzie.

Jałowiec zrobił kilka prostych gestów dłońmi. Nic z nich nie rozumiałem. Ten, który stał na przedzie trzech Lisów, spojrział na pozostałych i odmachnął coś do nas w języku migowym. Migowym, na pewno, pokazywał dłońmi, kreślił kształty, wszystko się zgadzało... A mimo to niczego nie rozumiałem. I w końcu przez myśl przeszła mi po raz kolejny ta sama teoria, która drwiła ze mnie przed wejściem do tego dziwnego, rudymenarnego obozu pod mostem. To był kawał innego kraju, może nawet innego świata, wyrwany jako żywo i wszczepiony siłą niby bąbel czasoprzestrzeni w środku Lasu. Stabilna planetoida, krążąca gdzieś po wszechświecie Lasu. Punkt tranzytowy między naszą wsią a docelowym miejscem, Suchym Gajem.

Nasi gospodarze migali do nas w swoim języku, który najwyraźniej znał Jałowiec. Jak się go nauczył? Czy dobrze w nim mówił? Tego nie wiedziałem.

Spróbowałem mignąć kilka prostych zwrotów, lisie maski spojrzały na mnie w kompletnej ciszy i po prostu wróciły do lustrowania wzrokiem Jałowca i pakunków za nim.

– On zna ich język? – spytałem migowym Szakłaka.

Szakłak uśmiechnął się pod maską, widziałem drżenie mięśni. Chyba cieszyła go ta dysproporcja władzy i wiedzy. Dopiero po dłuższej chwili obrócił się ku mnie, jakby obserwowanie rozmowy Jałowca nudziło go niepomiernie.

– Wszyscy mówimy językiem zysków – odparł enigmatycznie. – Mamy tu piwniczkę, skrytkę, w której nasz kontakt zostawia nam martwodrzew. Spytał się ich, czy tym razem mają dla nas dostawę, bo ostatnio nie było. Zarzekają się, że transportu od Żuczyska nie dostali od miesiąca, a on nie opuszcza swojego gaju. My im mimo to płacimy.

– Może kłamią? – zasugerowałem.

– Oni nie kłamią – odpowiedział krótko. – Nie zdejmuj maski. Oddychaj i nie panikuj. Myśl jak wykonasz zlecenie.

Zdjąłem plecak i przycupnąłem pod saniami. Mogłem to uznać za nasz pierwszy postój, nie licząc spotkania z niedźwiedziem. Zawsze byłem zdumiony tym, jak ludzie potrafią uznawać za normalne coś, co dla mnie było niepojęte.

Widziałem rozciągające się szeregi domów, zbudowanych z rozebranych karoserii samochodów, tablic, złomu i mnóstwa martwodrzewu. Wszystko to skryte w mroku nie tak znowu dużej przestrzeni pod tą autostradą, choć Bogiem a prawdą, może w ich kraju to była ledwie droga powiatowa. Reflektor miał nas tylko nastraszyć, a może poinformować o przekroczeniu jakiejś niewidzialnej, formalnej granicy. Z każdą chwilą widziałem coraz więcej prozy życia, postaci o lisich maskach, obserwujących nas z przydomowych warsztatów i chałupniczych stanowisk obronnych.

Ilu mogło ich tu być? Cztery tuziny? Może nawet mniej. Z czego żyli? Jak często mieli kontakty z innymi? Przez tak długi czas myślałem, że tylko Cisi potrafią żyć w Lesie, ale jak widać, znowu nie doceniłem tego wszechogarniającego oceanu zieleni, upstrzonego mikroskopijnymi kropkami wysepek, na których tliło się życie podobne do ludzkiego.

Usłyszałem stukot, drobny, wesoły. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że przede mną stoi niewielka osoba, ewidentnie o posturze dziecka. Miała maskę, a jakże. W końcu dzieci Cichych też miały maski, jakoś trzeba żyć w Lesie. Jednakże ta mała osóbka miała lisią maskę ze wstążkami o wszystkich kolorach. Lisie uszy nawleczono nitkami, które z łatwością wybijały się z tego monochromatycznego, betonowego zakątka świata.

– Mówisz jak Choły? – istotka zamachała drobnymi rączkami w rękawiczkach.

– Mówię – odpowiedziałem równie niewprawnie w migowym.

– Masz jakieś zabawki? – spytała energiczniej.

Szybko zrozumiałem, że pierwsze pytanie było zadane powoli nie dlatego, że dziecko nie znało dobrze migowego, ale dlatego, że spodziewało się, że ja nie znam. Pojąłem, że nie tylko zna ten język lepiej ode mnie, ale mówi też odmianą migowego, którą mówiły Lisy. A jeśli spytała mnie o Choły, zamiast po prostu spytać w moim narzeczu, to znaczyło, że mogła też kojarzyć jeszcze inne języki migowe. Choć to ostatnie było już tylko moim domysłem.

– Zabawki? – powtórzyłem po niej gest, faktycznie, uczyłem się tego słowa, ale jakby go nie użyła i nie była dzieckiem, to nawet bym go sobie nie przypomniał. – Mam jedzenie, pożytki i...

Dziecko natychmiast straciło zainteresowanie, odwróciło się i zaczęło biec w kierunku większego domu z dużych bal martwodrzewu. Ścianę pokrywały zielone i czerwone freski, a nad framugą wypisano coś w tym dziwnym, krzaczastym języku.

Odruchowo już miałem coś powiedzieć, ale ugryzłem się w język, wstałem i pobiegłem za małym Lisem. Szakłak klasnął dwa razy w ręce, by mnie powstrzymać, ale sam nie ruszył się z miejsca. Pojedyncze Lisy przyglądały mi się z boku, zza wizjerów ich masek nie mogłem dostrzec twarzy, ale domyślałem się, że nie są zbyt zadowoleni na widok obcych.

Przekroczyłem szeroki próg, przez który przewieszono dwie, ciężkie kotary, trzymające wiatr z dala od sieni. Niewielki przedpokój wyposażony był w ceramiczną umywalkę z wykręconym kranem. Wewnątrz naczynia była mętna woda, niemogąca spłynąć przez zakorkowany gumą odpływ. Nie wiem czemu, ale przypominało mi to misę na wodę święconą, które stawiano u wejścia kościołów.

No i miałem rację, pomyślałem, gdybym dostawał złotówkę za każdym razem, gdy znajduję w Lesie kościół, to miałbym teraz dwa złote. Może i nie jest to tak dużo, ale dziwne, że to już drugi raz.

Pierwsza myśl szybko jednak zaczęła rozmywać się pod wpływem tego, co widziałem. Fakt, pomieszczenie było spore, oświetlone pojedynczymi świeczkami, miało ławy i coś na wzór ołtarza, czy też centralnego stołu, na którym składano kwietne wieńce i papierowe girlandy. Natomiast zbyt wiele rzeczy wskazywało na to, że świątynia ma jeszcze inne funkcje, których nie mogłem poznać.

– Tu jesteś – mignąłem, widząc małego Lisa, opartego o ołtarz.

– Tu można mówić – odpowiedział Lisek wysokim głosem.

– Ile masz lat? – Zbliżyłem się do ołtarza i rozejrzałem z zaciekawieniem.

Oczy powoli przyzwyczyły się do mroku, choć dopiero co reflektor pewnie przeprowadził istną rzeź w mojej siatkówce. Nadal widziałem migające powidoki, zielone i czerwone plamy, wiszące w powietrzu. Chociaż nie, dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że część z tych plam istniała jak najbardziej w rzeczywistości i była ozdobami, zwisającymi ze ścian. Wyplatane makramy, obrazy z naturalnych farb, dywaniki z barwionych tkanin i długie, plecione z wielu różnych nici sznury ozdabiały wnętrze tego przedziwnego przybytku, od którego aż biło tajemnicą.

– *Piesiesio* – powiedziała niewyraźnie Lisica.

– Słucham?

– *Piesiesiot!* – podniosła głos, choć wcale nie brzmiała na rozgniewaną.

– Pięćdziesiąt? – spytałem, w myślach wertując możliwe scenariusze takie rozwoju wypadków. – To strasznie dużo, więcej niż ja.

– Trudne słowo – odpowiedziała, kompletnie zbywając mój komentarz. – Macie taki śmieszny, skwierczący język. Ładny jest, jakby ktoś śpiewał, ale słowa brzydkie i dużo, strasznie dużo słów, jakby ktoś obchodził wszystko dookoła.

– Jest dość deskryptywny – odparłem wymijająco i wskazałem rękoma na wszystko dookoła siebie. – To twój dom?

– Możesz tak mówić, idziemy na dużo ustępstw.

Jej głos był naprawdę niezwykły. Gdyby chodziło o samo ciało, to dziewczynka miałaby ledwie dziesięć lat, ale jeśli twierdziła, że miała pół wieku, a na to wszystko wskazywało, to wyjaśniałoby to elokwencję i sposób wymowy. Oczywiście, momentami przypominała też dziecko, zapewne efekty posiadania takiego ciała i całej gospodarki hormonalnej z nim związanej. Dylatacje czasu w przestrzeni Lasu mogły doprowadzić do naprawdę niezwykłych, momentami koszmarnych anomalii.

– Od dawna tu jesteście? – spytałem, choć mogłem się domyślić odpowiedzi.

– Czterdzieści jeden lat, mniej więcej. Ty jesteś *morinosotojin*, tak? – Przez moment spoglądała na mnie zza przeszkłonych wizjerów i doprecyzowała, nim zdążyłem się zbliżnić niewiedzą. – Obcy w Lesie, tak? My dla siebie jesteśmy *morinonaka*, dosłownie z Lasu.

– Mo-ri-no-so-to-dzin – wysylabizowałem powoli, smakując dziwne słowo. – To zabawne, dla was jesteśmy obcy, my w sumie dla siebie też. Natomiast dla ludzi z... Z mojej wsi też jak ktoś chodzi do Lasu, to jest nieco obcy. Powiedzielibyśmy, że jest Saprofitą. A ja... Ja mieszkam daleko poza Lasem, jeszcze dalej niż Choły.

Lisica zaśmiała się pod nosem, obeszła ołtarz, chwyciła podłużny, żółty kamień i zaczęła nim rozpalać długie kadzidełka, jakimi najeżona była naprzeciwległa ściana.

– Choły nie są daleko, nie dla nas. Dla nas nawet Warszawa jest blisko.

Zrobiło mi się niezręcznie. Miałem takie niepokojące wrażenie, które powoli ześlizgiwało mi się wzdłuż pleców, wywołując delikatne mrowienie. Czułem się, jakby ktoś włączył kamerę i zaczął mnie nagrywać. Nagle byłem taki bezbronny, a każde moje słowo zdawało się poddawane jakiejś zewnętrznej, wiążącej ocenie.

– A wy jesteście z jeszcze dalszego miejsca, tak?

Dziewczynka zbliżyła się ku mnie. Filtrami wylapałem silny, pachnący ogniskiem i żywicą zapach. Lisica wyciągnęła dwie, drobne rączki w rękawiczkach i chwyciła mnie za rękę. Nagle dookoła niej powietrze zafalowało, lekko zajaśniało, zupełnie tak, jakby promienie światła z kadzidełek i świeczek zogniskowały się w niej niczym w soczewce.

– My jesteśmy z bardzo daleka, ale ja to słabo pamiętam, prawie wcale. Jestem najmłodsza z całego klanu. Reszta jest już zbyt stara, skażona naszym domem. Z każdym rokiem przybywa u nas *yokai*... Lich? Dziwadła? Bóstw?

– Mieszkacie w Lesie – odrzekłem speszony, nie mogąc wyswobodzić rąk z jej delikatnego, niemalże bezsilnego uścisku. – Nic dziwnego, że macie problem ze stworami.

– Nie mamy problemów ze stworami. – Dziewczynka pomachała głową na boki i ścisnęła mnie mocno. W jej oczach błysnęło coś dzikiego, obcego. – My się nimi stajemy. Powoli, ale nieustannie. Nie bój się, nie zrobimy ci krzywdy, ja na pewno nie. Dla mnie jesteś

w takim samym stopniu obcy, jak ja dla ciebie. To ty przychodzisz z krainy stalowych maszyn i wielkich pól. U nas jest inaczej, mamy inną relację z Lasem.

Cofnąłem ręce i odszedłem o krok. Tak, ciekawość była gigantyczna, ale rozsądek wziął górę. Nie każda niezwykłość jest warta badania z pierwszego rzędu. A ona... Ona była straszna, tak po prostu. Bałem się w niej wszystkiego. Była starsza, a zarazem młodsza. Była z obcego kraju, a zarazem znała Las lepiej ode mnie. Handlowała z Chołami, zamieszkiwała świątynie, broniła się przed Lasem, przez pół wieku utrzymywała to wycięte z innego świata miejsce w nienagannym stanie, jak jakiś skansen dawnej ojczyzny.

– Ty jesteś lichem – powiedziałem cicho, sięgając powoli po pistolet.

– Nie jestem, ale bywam. Żyjemy w zgodzie z Lasem, wiemy jak z nim rozmawiać. Tam skąd pochodzimy, ziemia jest niegościnna, ale otacza się ją szacunkiem. Mamy jej niewiele i nie daję życia. A wasz Las? – Dziewczynka na moment zamyśliła się, zbliżyła do mnie o krok i zaczęła zdejmować maskę. – Las to wielka rzecz, Drozd.

Jej twarz była poszarpana dziesiątkami przebić, które ciągnęły się długimi tunelami pod skórą. Kolorowe nici i tatuaże pokrywały każdy fragment twarzy, nawet powieki. Dziewczynka wyglądała jak jakaś karykaturalna lalka, teatralna marionetka, którą ktoś zszył z barwnych gałganów.

Wszystkie kadzidła i świece zgasły, a ja natychmiast znalazłem się przy saniach, dysząc ciężko. Niczego nie pamiętałem, płuca płonęły żywym ogniem, nogi gięły się pod ciężarem ciała. Musiałem biec, tak po prostu uciec, nie, gorzej. Wyłączyłem się, mój organizm po prostu przejął stery i zaczął ewakuować się z prędkością, za którą za pewno przyszło mi zapłacić jakimś zwyrodnieniem stawów w przyszłości.

Nagle coś mnie pchnęło w ramię, obróciłem się, robiąc wymach. Dłoń w rękawicy chwyciła moją pięść w locie i wykręciła rękę jednym, płynnym ruchem. Przez moment patrzyłem na maskę Szakłaka, łokieć wyginał się coraz bardziej ku ziemi, aż w końcu Chołownik puścił mnie i zaczął gestykulować żywo.

– Pierwszy raz jesteś w Lesie? Nie znasz ich, nas znasz, nas się trzymaj.

Stojący nieopodal Jałowiec skwitował to wzruszeniem ramion i zaczął szykować się do dalszej drogi. Plandeka osadzała się niżej, straciliśmy nieco towaru. Kątem oka dostrzegłem, jak Lisy z zaciekawieniem rozwijają papierowe pakunki przy stołach i segregują znalezione wewnątrz dobra.

Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że wnętrze budynku, który opuściłem, pulsowało niemalże widzialnym, gęstym cieniem. Zupełnie tak, jakby zgromadzona tam aura wylewała się na zewnątrz i zawracała w ostatniej chwili. Jedno wiedziałem na pewno, to co zobaczyłem

w świątyni, na długo będzie mi przypominało o tym, jak niebezpieczny i zachłanny potrafi być Las.

Jałowiec pociągnął sanie, oparłem o nie dłoń i spojrzałem za siebie. Ukryte w trzewiach konglomeratu tkanin i złomu maski Lisów, zdawały się szybko znikać w gęstniejącym, żółtym powietrzu. Przez moment widziałem tylko rozżarzone oranżem punkty podobnych do psów twarzy, aż w końcu zwróciłem uwagę na pojedyncze płatki śniegu. Asfalt zmienił się w cienką warstwę śniegu, nagle grubszą, nawianą między drzewami z odległych przeredzeń, aż w końcu po prostu brnąłem po golenie w zaspach.

– Byli podobni do Cichych – zamigałem dłońmi.

Szakłak dostrzegł to kantem oka, pokręcił głową i już byłem pewny, że po prostu zignorował pytanie. Dłuższy czas wsłuchiwałem się tylko w chrzęst śniegu pod stopami i hulający wiatr. Wreszcie mój przewodnik obrócił się na moment i idąc bokiem, niby krab, zaczął gestykulować żywo.

– Znacznie gorsi od Cichych. Słabeusze z innego świata, innej wersji Lasu, poddali się łatwo. Las sięgnął jednym korzonkiem daleko, wyrwał, przeniósł tu teren, a ich wraz z nim. – Szakłak gestykulował szybko, nie łapałem wszystkiego, a momentami jego konstrukcja zdań wydawała mi się dosyć siermiężna. – My się bijemy, walczymy, zdobywamy. Oni głównie proszą. Ty widziałeś tą małą, prawda? Ona gada z Lasem, ale tylko prosi i tyle. Dają się wykorzystywać. Ty się nie bój, my mocniejsi, Choły większe, oni wymrą albo ich co zeżre i tyle. A potem kto wie, może Cisi zajmą po nich miejsce i tyle.

– Może będzie taniej – zasugerowałem.

Szakłak chyba zaśmiał się bezgłośnie pod maską, była to jego pierwsza w miarę pozytywna reakcja na to, co powiedziałem. Jego wywód był długi i wyraźnie go zmęczył, ale chyba narzekanie na obce plemię trochę go otworzyło. Nie zrozumiałem części jego słów, określał jakimś słowem tę dziewczynkę, ale nie wiem jakim. Kilka razy wskazał też bardzo specyficzny znak, niepodobny do niczego, chyba to była nazwa własna na tych ludzi w lisich maskach. A o co mu chodziło z walką i zdobywaniem to ciężko powiedzieć. Fakt, mieszkańcy Chołów radzili sobie nieźle, to znaczy, ciężko do czegośkolwiek porównać, czy z kim mierzyć, ale powiedzmy, że kilkadziesiąt lat to niezły wynik. Mieli swoje rytuały, tradycje i najważniejsze, mieli pieśni Chołów.

Przez moment jeszcze oglądałem się za siebie, jakby przeczuwając, że dojrzę kolorową, oszpeconą twarz dziecka, ale nie była to prawda. Za mną były po prostu przebijające śnieg wysokie paprocie i gargantuiczne drzewa iglaste, z których zwisały podłużne, złociste szyszki, zawijające się jak księżyc.

– Czemu miała twarz? – spytałem, tak jak umiałem.

Szakłak obrócił się, słysząc, że macham rękoma.

– Twarz dziewczynki, dziwna twarz – powtórzyłem.

– Coś za coś, Las nie jest łatwo kupić – odpowiedział tajemniczo i krótko. Tym razem nie dał się naciągnąć na dłuższy wywód.

Drzewa z czasem zaczęły karleć, przeobrażać się w bardziej wychudłe, rachityczne formy, ledwie cienie wcześniejszego majestatu i potęgi. Gałęzie zdawały się osadzać coraz niżej, blisko wątłych, przesuszonych rdzeni, gdzie dało się dostrzec ślady żeru jakiegoś robactwa i pierwsze oznaki obumierania. Tak oto życiodajny, bogaty Las zmienił się ledwie w jakiś tam las z rzadko rosnącymi kikutami w kolorze oblizanej do czysta kości.

Byliśmy w Suchym Gaju, zrozumiałem, gdy pod stopą strzelił mi patyk. Ot taki sobie, zwykły, łamiący się badył, wystający spod cieniutkiej warstewki śniegu i topniejącego lodu. Nawet się nie obejrzelismy, nie zlekliśmy, bo wiedzieliśmy, że to miejsce całkowicie jałowe, niezdolne do podtrzymania życia, nawet w najbardziej zajadłej i brutalnej formie. Tu zwyczajnie nic nie mogło istnieć.

– Gotowy? – zamachał rękoma Szakłak.

Jałowiec nie odpowiedział i dopiero po chwili zrozumiałem, że rzucone w przestrzeń pytanie, było tak naprawdę skierowane do mnie.

Nie, nie byłem gotowy, wcale a wcale. Natomiast właśnie tak od pół wieku żyły Choły i powoli starałem się tego od nich uczyć. Nie było jeszcze żadnej metody naukowej, nie było sposobu katalogowania informacji, szeregowania, analizowania i wyciągania wniosków. Było tylko doświadczenie starszych, przekazywane ustnie w pieśniach i mnemotechnikach. Nie mogłem wiedzieć, jak być gotowym na rozmowę z opiekunem gaju z martwodrzewu, ponieważ nigdy z takowym nie rozmawiałem. Gdybym z nim rozmawiał, to miałbym jednostkową informację o konkretnej sytuacji w konkretnym czasie i konkretnym miejscu. I nawet to by mi w niczym nie pomogło. Więc byłem gotowy na to, że nie byłem wcale gotowy.

Sanie sunęły coraz częściej po korzeniach, kamieniach i wyrwach w ziemi, momentami zanurzając się w wypełnionych roztopami koleinach. Zdecydowanie zmieniliśmy klimat i powoli panowanie obejmowało coś na wzór smutnego przedwiośnia. Faktycznie sam Suchy Gaj wyglądał tak, jak można się było tego spodziewać. Kilkaset arów całkowicie jałowej, szarej ziemi, z której niezwykle rzadko wyrastały kępki uschniętych roślin lub pożółkłych korzonków nieznanego pochodzenia. W kilku miejscach dało się dojrzeć ślady po pniach ściętych za pomocą siekier lub pił łańcuchowych.

Zmroziło mnie na samą myśl. Ktoś był na tyle szalony, by ściąć drzewo piłą w Lesie. Za samą myśl prawdopodobnie można było trafić pod wzrok jakiegoś wyjątkowo paskudnego, równie zacietrzewionego co potężnego bóstwa opiekuńczego.

Lecz mimo to Suchy Gaj istniał, nie został zmieniony w kwietną łąkę, ani zajęty przez żywe grzybnie czy inne formy rekolonizacji Lasu. Wszystko było całkiem sensowne w ramach pewnej anomalii, aż nie spostrzegłem samej chaty Żuczyska.

– Spodziewałem się czegoś mniej żywego – zamigałem.

Szakłak przyśpieszył nagle, ewidentnie zły. Nie rozumiałem dynamiki sytuacji, ale wszystko wskazywało na to, że znaleźliśmy pierwsze oznaki naszego problemu z dostawami.

Domek naszego leśnego sprzedawcy był naprawdę ciekawym przykładem raczkującej, rudymenarnej architektury leśnej. Zbudowany z całych bał martwodrzewu, zapewne rzadkich i cennych do tego stopnia, że nie dało się ich wycenić. W miejscach okien wstawiono wielopłytkowe, bezbarwne witraże, oprawione w żelazne kraty z kolcami o długich zadziarach. Dach był dosyć spadzisty i opatrzony rynną, zbierającą deszczówkę. Dało się nawet dostrzec wyłożoną kamieniami drogę do wychodka. No tak, wszystko było naprawdę ładne, zadbane i wręcz imponujące w swojej surowej formie. Tylko szkopał był w tym, że cały dom porastał jaskrawy, soczysty bluszcz koloru młodej trawy.

Gaj to może, ale na pewno nie suchy, pomyślałem, czyli albo nasz gospodarz zmienił profil działalności, albo sam ma większe kłopoty niż my z brakiem dostaw.

Jałowiec przywiązał sanie do masywnego drzewa, przypominającego platan, wyjął spod plandeki długą siekierę i ruszył za Szakłakiem. W tym tempie szykowało się na to, że zamiast negocjacji i rozmów, będziemy mieli regularny zestaw pod tytułem; sąsiedzka awantura i zabójstwo w afekcie. Klasyka dań wiejskich.

Moi towarzysze już zbliżali się do chaty, a ja pozwoliłem sobie jeszcze na rzut okiem po okolicy. Nie było zwierząt, gaj nadal był pełen martwych drzew, gotowych do ścięcia i przerobienia na budulec albo bezpieczne źródło ogrzewania. Narzędzia stały w karnych rządkach pod wcześniej ściętymi, przykrytymi brezentem kłodami. Siekiery, piły zarówno automatyczne jak i ręczne, kłujące w oczy kanistry z benzyną, ostrzałki, sekatory, a nawet prymitywne zestawy do wykorzeniania pni. Minęło sporo czasu, a Las nadal nie zajął w pełni Suchego Gaju, nie dokonał żadnej zemsty, ani nie przykrył wszystkiego kolejną warstwą dzikich pięt.

Szakłak załomotał z siłą w drzwi. Kurz dosłownie wystrzelił grubą, zbierającą się długo warstwą drobnych wiórów i wyschłego błota. Jałowiec zbliżył się, w pierwszym

odruchu spróbował oderwać kilka z długich, grubych pnączy, oplatających drzwi, ale zaraz po prostu poprawił chwyt na siekierze i parsknął na kolegę dziwnym głosem.

Rozbrzmiał trzask. Siekiera wbiła się w drzwi z impetem, a odchodząc, zabrała ze sobą deszcz drzazg i mniejszych szczap. Kolejny cios i następny wybiły pierwszą dziurę w wejściu, wpuszczając do środka nieco światła. Jałowiec przyłożył wizjer czaszki do drzwi, ale poroże nie pozwoliło mu na zbytne zbliżenie się do otworu. Warknął coś nieludzkim głosem i zaczął rąbać z jeszcze większym zaciętrzewieniem!

Wreszcie drzwi przechyliły się w momencie, gdy było właściwie więcej dziury niż samego drewna. Jałowiec kopnął mocno przy samej klamce. Zamek strzelił paskudnie, wyłamany z ogromną siłą i cała konstrukcja po prostu wleciała do wnętrza, huśtając się na pordzewiałych zawiasach.

– Mógł od razu kopnąć – zamigałem, ale moi współpodróżni nie mieli ochoty na rozmowy. Wdarli się siłą do środka, włączając w progu latarki.

Dwie plamy światła prześlizgnęły się po ciemnym, zarośniętym wnętrzu. Całość domu przypominała butelkę, którą ktoś oglądał od środka. Wygięte kształty o jaskrawym, zielonym kolorze, przesuwwały się i falowały pod sufitem. Latarki wycinały kolejne przedmioty z mroku: szafa, komoda, lampa gazowa, bujany fotel, człowiek, rewolwer...

Szakłak wrócił się, oświetlił bujany fotel, w którym ktoś siedział. Chołownik stanął dęba. Ledwie dało się rozpoznać wystające spod grubej warstwy gałęzi i kobierca zielonych liści poszczególne fragmenty ciała i twarzy. Skóra istoty przypominała umazany kisiem gruszkowym kawał pergaminu.

Jałowiec zbliżył się do lampy gazowej, przekręcił zapalnik i z cichym chrzęstem rozpałił ogień. Światło rozlało się po głównej izbie, wzniecając poruszenie wśród rozlicznych korzeni, oplatających wszystkie ściany, podłogę, a nawet sufit.

– Kochanie, mamy gości – rozległ się szept.

Korzenie zaczęły świszczuć, szeleścić i trzaskać jeden po drugim, odrywając się powoli od ciała człowieka. Leśna istota powoli wycofywała się w głąb swojego liściastego dominium i wypuszczała z objęć gospodarza. Ten wreszcie zamrugał ospale i otworzył oczy, po czym rozpromienił się w uśmiechu.

– Witajcie kochani – szepnął miękko, ale słabym głosem. – Zamknijcie drzwi i ściągnijcie maski, zrobię herbatę.

– Hipnotyzuj go – powiedział nagle Szakłak.

– Słucham? – odparłem zdziwiony. – Tyle razy mówiłem, że nie jestem pieprzonym hipnotyzerem. A co do drzwi to faktycznie możecie je wstawić z powrotem, zaczniemy chyba od wpuszczenia tu nieco światła.

– Bez problemu – odezwały się korzenie i cofnęły, odsłaniając kilka okien.

Wnętrze chaty rozświetliło się delikatnym, przytłumionym blaskiem. Wiszące w powietrzu zarodniki i kurz stały się aż nazbyt widoczne. Tak, miałem pewność, że żadne z nas nie będzie chciało zdjąć maski, ani nawet upić łyka herbaty.

Jałowiec mimo wszystko zdjął z siebie płaszcz, zamknął drzwi i powiesił nad nimi ubranie, by nie nawiewało niczego z dworu. Dopiero wtedy zobaczyłem, jak pod warstwą skór widnieje gruby, ręcznie tkany sweter, opinający się na imponujących, szerokich barkach. Cóż, czasy nie były łatwe, ale Saprofici chyba mieli swoje metody na utrzymanie się przy sporych pokładach sił.

Gospodarz wstał wreszcie z fotela, był niski, stary, zarośnięty i ubrany w beżowy sweterek na drewniane guziki oraz cerowane spodnie z co najmniej czterema różnymi, kolorowymi łatami. Przypominał poczciwego dziadka, który cierpliwie czekał, bujając się tak długo, aż przyjdzie po niego śmierć. A myśmy mu to spokojne oczekiwanie przerwali, bo śmierć nie leżała w interesie ekonomicznym skromnej wioski na granicy Lasu.

– Tu możemy porozmawiać – szepnął, wskazując spory, rzeźbiony z jednego kawałka drewna stół pod oknem. – Akacjo, bądź tak dobra i zrób nam herbaty.

Korzenie zakotłowały się pod sufitem niczym węzowisko, zaraz kilka długich, zielonych pędów o chwytnych, lepkich liściach znalazło cztery szklanki w koszyczkach i położyło je na stole. Pnącza zawisły nad naczyniami i zaczęły niezwykle powoli ociekać zielonkawym sokiem, skraplającym się w szklankach.

– To herbata – zapewniła ciepłym głosem Akacja, która dla nas nadal była wszechobecnym kobiercem liści, mówiącym zewsząd. – Nie bójcie się.

– Nie boję się, po prostu... – Przez moment myślałem nad tym, jak być miłym i grzecznym w tej nietypowej sytuacji. Nagle jednak jakiś dreszcz przeszedł moje ciało i doszło do mnie, jak kuriozalne były wydarzenia, rozgrywające się przede mną. – Po prostu właśnie zlewasz nam nie wiadomo co do szklanek i oczekujesz, że się tego napijemy. No nie, tak po prostu nie, nie zgadzam się, możesz sobie darować. I tak; może faktycznie jest to herbata, napar, woda z minerałami, cokolwiek. Zwyczajnie nie wybaczyłbym sobie własnej głupoty, gdybym się tego napił.

– Przykre – szepnął gospodarz. – Czyli jednak kultura w narodzie ginie, miałaś rację Akacjo, szkoda.

Drwał z Suchego Gaju podniósł szklankę do ust, wypił ostentacyjnie dużego łyka, oblizwał usta z zadowoleniem i nawet mruknął, jakby chciał pochwalić Akację za smak. Widziałem jak pod jego suchą, starczą skórą grają wytrenowane przez lata mięśnie. Poniekąd przypominał mi ojca Maurycego, ale był starszy i zdecydowanie niższy.

– Przeszkodził mi w drzemce? – spytałem, zastanawiając się nad tym, czy powinienem rozmawiać z gospodarzem, czy jego nietypową towarzyszką.

– Drzemce – powtórzył Żuczysko, przytakując – posiłku, picia i świętowaniu. Zaraz się rozbudzę, spokojnie. Dawno nie mieliśmy gości, czy mogę mieć do was prośbę?

Nikt nie odpowiedział.

– Możemy sobie zrobić zdjęcie? – dopytał Żuczysko, po czym jeden z korzeni niby odczytując jego myśli, podał mu sfatygowany aparat fotograficzny, z którego nie sposób było odczytać marki.

Skąd go masz u licha, pomyślałem, mając wrażenie, że świat dookoła zaczyna się zaciskać jak pętla, a z każdą chwilą tracę możliwe opcje ruchu. Przytaknąłem z grzeczności, w końcu co mi mógł zrobić tym aparatem, ukraść duszę? Cóż... Niewykluczone.

Uderzenie flesza było oślepiające. Jałowiec odruchowo zacisnął ręce na rękojeściach noży, nie wiem kiedy je zdążył schować, a potem znowu wyjąć. Tylko sam Szaklak siedział nagle dziwnie cicho, jakby czekając, czy będę w stanie podjąć się rozwiązania problemu, czy targał mnie tu z czystego obowiązku.

– Ładnie wyszło – mruknął staruszek, chwytając za kwadratowy kawałek papieru. – Sami zobaczcie.

Natychmiastowo wywołane zdjęcie prześlizgnęło się po stole i zatrzymało obok mnie. Moi towarzysze nawet nie spojrzeli, ale ja podniosłem je i zamarłem.

Czy ja tak wyglądam? Myśli miałem przytłumione wizerunkiem trzech ponurych sylwetek, ubranych w mieszaniny ubrań starych, prymitywnych i ręcznie wykonanych w różnej konformacji. Widziałem swój oliwkowy płaszcz, który teraz wydawał mi się obrzydliwy, jak kawał brudnej folii, zwisający z małego człowieczka, kryjącego twarz za błyszczącą maską. Moi towarzysze byli do mnie podobni, ale więksi, bardziej dzicy, złowrodzy i nosili liczniejsze znamiona długich podróży. Na zdjęciu nie było wcale korzeni, ani liści. Światło wpadało przez okno, które było przecież zarośnięte, a na zdjęciu wpuszczało dużo naturalnego blasku, jak gdyby nigdy nic.

A może to było tylko zdjęcie.

– Kim jest Akacja? – spytałem wprost, wkładając zdjęcie do kieszeni spodni.

– Moją współlokatorką i...

– Lichem? – warknąłem zirytowany. – Leśnym bóstwem? Kolejną upośledzoną maszyną, która nie wie co robić, bo żaden z Przybyszy jej nie serwisuje?

Zapadła cisza, w której jedynie korzenie delikatnie szurały, przesuwając się wzdłuż framugi drzwi. Pnącza powolutku, kroczonek po kroczoneku zajmowały przestrzeń, którą wyrąbał siekierą Jałowiec.

– Na pewno nie chciał tego powiedzieć – szepnął Żuczysko. – On nie rozumie i dlatego myśli, że rozumie.

– Nic nie szkodzi, bądźmy łagodni – szepnęła Akacja. – Ułatwimy wam to.

Korzenie ześlizgnęły się z sufitu, chwytając lepki, małymi wyrostkami ściany i przypominając coś w rodzaju jaszczurki, spęzły do poziomu podłogi. Po chwili roślina zakotłowała się ponownie i zaczęła spiętrzać, formować jak glina i przybierać nowy kształt, aż wreszcie obok stołu stanęła wysoka, ewidentnie dziwaczna, ale niemalże ludzka postać. Kobieta, naga, ale przy tym bardziej przypominająca jakieś humanoidalne zwierzę, coś innego gatunku, aniżeli człowieka. Długie włosy z pnączy upięła wierzbową gałązką, pokrytą baziami, które przecież i tak były częścią jej ciała. Faktycznie ubrała się i przyjęła tę postać tylko na potrzeby spotkania.

– Naprawdę nie o to chodzi – mruknąłem zdegustowany, bo choć Las był dla mnie nadal najbardziej niezwykłym bytem w historii wszechświata, to sztuczki z istotami przybierającymi ludzką postać, przestały na mnie działać. – Masz prawo wyglądać, jak chcesz. Masz prawo być systemem korzeni albo drzewem, zwierzęciem lub konglomeratem pszczoł, zbierającym informacje do wspólnego mózgu, to nie ma znaczenia. Obecny tu Żuczysko pracował jako drwal dla... Naszej wsi przez długi czas, a teraz widzę, że jesteś powodem, dla którego przestał. Chcę tylko wiedzieć, czemu go nawiedzasz i dlaczego sobie stąd nie pójdiesz.

– On ma imię – syknęła zezłoszczona Akacja. – Nie jest drwalem, w pierwszej kolejności jest człowiekiem, potem moim przyjacielem, a na końcu ogrodnikiem. Nawet nie kwalifikujecie się do tego rankingu.

Uniosłem brwi w zdumieniu, choć nie mogła tego widzieć przez maskę, a przynajmniej chyba nie mogła. Akacja nie tylko była mimikrą człowieka, ale nawet próbowała udawać go z pewną wytrwałością. Udawanie przyjaciela, oburzenie w głosie mimo braku strun głosowych, wściekłość na twarzy, mimo tego, że jeszcze chwilę temu była po prostu kłębowiskiem naczyń, pobierających z gleby wodę i substancje odżywcze. No tak, kolejna zepsuta maszyna Przybyszów, nic szczególnie nowego.

– Orodnikiem, a kto hoduje martwe drzewa?

– Dla ciebie to tylko opał – powiedziała Akacja, jakby wypluwała z siebie jakieś wyjątkowo wulgarne słowo. – Martwodrzew też można posadzić, też może rosnąć i żyć na swój sposób. Jest to tak samo prawdziwe drzewo jak każde inne, nawet jeśli dla ciebie jedyną wartością wyznacza to, ile może ci dać.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Maszyna broniąca prawa chrustu do życia. Jakby to chociaż był człowiek albo jakbyśmy mówili o jakichś jeleniach, czy leśnych dziadach albo czymkolwiek NAPRAWDĘ żywym, to jeszcze bym to mógł zrozumieć.

– A co na to sam zainteresowany? – spytałem.

– Miałem sporo czasu dla siebie – odpowiedział spokojnym, pozbawionym wyrzutu tonem. – Byłem wygnańcem, więc nie miałem wiele do powiedzenia. Bez dostaw z Chołów nie mogłem przeżyć w Lesie, więc musiałem robić to, czego ode mnie wymagano.

Szakłak wyszczerzył się pod maską. Widziałem, jak mięśnie na jego szyi drżą w zadowoleniu, zupełnie tak, jakby przypominał sobie jakieś stare, dobre czasy.

– Natomiast to już jest przeszłość – dodał po chwili gospodarz. – Znalazłem kogoś, kto potrafi mi dać znacznie więcej, a oczekuje o wiele mniej. No i nie muszę nikogo krzywdzić, ścinać drzew, chandryczyć się o coraz mniejsze porcje mąki, konserw czy naftaliny lub ubrań. Jest mi dobrze, jestem szczęśliwy.

– Jesteś wygnańcem – warknął Szakłak, uderzając pięścią o stół. – Obszczymurem, który zbecześcił tradycje. Daliśmy ci szansę, zostałeś Żuczyskiem i przysięgam na wszystko, co mi drogie i cenne, że wrócisz do swojej pracy, by odpłacić się za wszystkie szkody, które nam wyrządziłeś.

– Nawet o tym nie myśl – ryknęły korzenie Akacji, wstrząsając domem.

Jałowiec wstał od stołu. Krzesło z hukiem upadło na podłogę. Ostrza błysnęły w dłoniach Chołownika, gotowe do cięcia, żądlenia i szarpania.

– Choły potrzebują martwodrzewu. – Wstałem i wzniosłem ręce ku górze.

– A ja mam dość... – szepnął gospodarz, chowając twarz w rękach. – Tyle lat niedotykania przez nikogo, sam, na łasce i niełasce, pogardzany. Oddałem tej wsi całe życie, niech chociaż śmierć będzie moja.

– Szkoda, że nie byłeś taki wyrozumiały, gdy zniszczyłeś obchody przesileniowe – warknął Szakłak, bijąc pięścią w stół. – Miałeś na sobie odpowiedzialność i zawiodłeś. Mogliśmy cię zabić albo gorzej, zamiast tego masz dach nad głową, masz co jeść...

– Jestem nędzny! – załkał Żuczysko. – Od lat żyję tu sam, nie mam do kogo gęby otworzyć. Nie mogę opuścić tego przeklętego miejsca, a w nim nic nie rośnie, nie ma zwierząt, nie ma niczego.

– Jesteś bezpieczny!

– Jestem przeklęty!

Cisza zapanowała na moment w chacie. Starzec rozplakał się, kobierzec poźółkłych liści otoczył go grubym kocem. Akacja chwyciła gospodarza i zaczęła bujać na boki jak dziecko, potrzebujące opieki rodzica.

– Jak wy żyjecie, ludzie? – spytała z nieukrywanym strachem istota. – Co wam po tej tradycji? Co on wam zrobił? Krzywdzicie jednego ze swoich. Dajcie mu spokój, zabierzcie ile chcecie tego martwodrzewu i po prostu odejdźcie!

– Bez źródła umrzemy – warknął Szakłak.

– Dacie radę – szepnął Żuczysko, łkając nieustannie. – Narąbałem dużo, a przecież możecie z innych miejsc jeszcze zdobyć...

– Chcemy! Więcej! – ryknął Szakłak, uderzając pięścią w stół, po raz nie wiadomo już który.

Chata zatrzęsała się nagle. Herbata w szklankach zaczęła drzeć niespokojnie, wyczuwając zawirowanie w aurze.

Rozległ się grom. Zaraz za potężnym grzmiotem zabrzmiał ryk tak donośny, że skuliłem się w sobie. Poczulem, jak twarz wygina mi się w absolutnym przerażeniu. Dźwięk przypominał ryk giganta, walącą się katedrę lub marsz nadchodzących gór. Seria trzasków wstrząsnęła światem, gdy nagle kolejne drzewa zaczęły walić się na ziemię z charakterystycznym odgłosem pękających pni.

Wreszcie boski okrzyk zabrzmiał gdzieś dalej, może kilometry, a może całe kontynenty w oddali. Minęło wiele czasu, nim ktokolwiek zdobył się na odwagę, by poruszyć choćby palcem. Spozrzegliśmy, że jesteśmy zawieszani w bardzo dziwnych pozach, jak wystraszone jaszczurki, liczące na oszukanie wzroku drapieżnego ptaka.

– Gdyby nie ja, już byście nie żyli – syknęła Akacja. Dom zatrzęsł się w odpowiedzi, poruszony skomplikowanym systemem korzeni i liściastej kopuły.

– Kim jesteś? – spytałem, nie mogąc się pozbierać.

– Późno na to pytanie, prawda? Jak to się mówi, och Kajtek ty kiedyś takie ładne zdanie w książce miałeś...

– Najpierw strzelają, potem pytają? – rzucił gospodarz, na co Akacja odpowiedziała mu rozradowanym uśmiechem i zakwitnięciem kilku pączków w jej włosach.

Kajtek, Kajetan, czyli miał imię. Faktycznie od tego wypadało zacząć. Choć wchodzenie w przyjacielskie pogawędki z leśnym lichami rzadko kończyło się dobrze.

– Jestem sobą – odpowiedziała po chwili Akacja i zaraz wydeła szmaragdowe usta. – Tak, pewnie cię nie satysfakcjonuje ta odpowiedź, a w zasadzie to żadnego z was. Natomiast nie, przepraszam, nie wiem, jakim jestem gatunkiem i nie znam nikogo mi podobnego. Wiem tyle, że znalazłam to miejsce dawno temu i wydało mi się przerażająco martwe. Niestety było to też jedyne miejsce, w którym nie mogłam niczego posadzić, rozrosnąć się w żaden sposób. Wszystko tu jest jałowe do cna i to wyście zapewne to uczynili. Więc kawałek po kawałku, kroczonek po kroczoneku podchodziłam przez miesiące, a może i lata do domu, aż wreszcie niedawno, dopiero co właściwie dotarłam do ścian.

– Bardzo sobie przypadliśmy do gustu – zaśmiał się Kajetan, czy też Żuczysko. Na moment w jego oczach błysnął taki młodzieńczy blask życia, jaki chciałbym zawsze widzieć, patrząc w lustro. – Czytałem mojej Akacji książki, uczyłem o tym co wiedziałem, a ona wiele nauczyła mnie, pewnie nawet więcej. No i nikt nie robi takiej herbaty jak Akacja, a jej sok jest najśłodszą rzeczą, jaką piłem w życiu. Przestały mnie boleć ręce, zeszło mi nadciśnienie, nawet kolana już nie dokuczają.

– Oj nie rozpędzaj się tak – zachichotała istota, choć w jej udającej ludzką twarz, można było dostrzec coś na wzór szczerzego zawstydzenia. – Starczy powiedzieć, że się zadurzyliśmy w sobie. W całym Lesie jest pozornie nieskończona ilość gatunków, rodzajów, czy królestw, ale jeszcze nigdy przedtem nie widziałam człowieka. Liczyłam po cichu, że wszyscy ludzie tacy są, ale jak się okazuje, mój Kajtek jest wyjątkowy... Co ma swoje dobre, jak i złe strony, patrząc na was.

Zabębniłem palcami w blat, przysiadłem i odpiąłem ustnik maski. Przez moment wahałem się, szczerze wierząc, że nie ma powrotu, ale wreszcie chwyciłem za szklankę i wypilem łyk herbaty z Akacji.

Była lepsza niż dowolna herbata, jaką kiedykolwiek poczęstował mnie drugi człowiek lub dało się dostać w sklepie czy lokalu. Orzeźwiająca, klarowna, lekko cierpka, ale bez metalicznego posmaku.

– Jak zostałeś wygnany? – spytałem, czując, że moje serce zwalnia.

– Złamał... – zaczął Szakłak.

– Stul pysk – warknąłem. – A jak masz zamiar jazgotać, to od razu wyjdź na dwór i zawołał to... Gargantuiczne bydle, które nas minęło.

– Ja chcę tylko żyć w spokoju... – szepnął smutno Kajetan.

– Opowiedz mi...

– Było święto, dużo wianków, kwietne girlandy, dzieci w lnianych, białych bluzkach i spódnicach. Wszyscy boso, bardzo ciepły dzień... Och ja tak nie pamiętam. Byłem wtedy...

Byłem pijany. Pijany jak bela. Piłem każdego dnia, ciągle, zawsze odkąd moja żona zmarła. Nawet na mszę chodziłem z piersiówką, to co miało być inaczej? Bo święto Lasu to gorsze od święta Chrystusa? Upiłem się, zrobiłem awanturę... Coś zepsułem, była straszna afera. Myślałem, że sołtys to mnie zabije, Jonasz był zawsze taki zgorzkniały i bezbrzeżnie oddany wszystkim pieśniom, pamiętał je tak dobrze jeszcze z dnia nadejścia Lasu. A ja byłem tylko sobą, pijakiem, wdowcem, ot śmieciem. Nic się nie stało, ale... Ale mogło, chyba? Poczynili mi to za ogromną hańbę, ograbili, wygnali. Wygnali... Wygnali tak bardzo. Nie masz pojęcia, jak to jest chłopaku. Ja stąd nie wyjdę już nigdy, uschnę jak te drzewa. Jedyne co robię, czy robiłem to ścinanie drzew, w kółko i w kółko. Trze piła, rąbie topór, szumi szufla i tak codziennie powtórki, aż do zgarbienia palców z bólu. Jestem stary, pozwól mi umrzeć, nie chcę być wygnańcem, nie chcę być w ogóle. Nigdy nie chciałem i nadal nie chcę. Jeśli przez lata cała wioska opierała swoje życie na starym Żuczysku, który nie chce nawet wstawać rano, to po co taka wioska? Co komu po niej? Dajmy temu spokój, dajmy mi spokój.

Przez długi moment siedzieliśmy w ciszy, trawiąc słowa gospodarza. Nawet sam Szakłak przysiadł na chwilę i jakimś nerwowym odruchem zaczął skubać kraniec jednego z rogów maski.

– Czy jest jakiś sposób, aby cię przekonać do...

– Nie – przerwał mi, powstrzymując łzy. – Po prostu nie. Daj mi odejść.

– To chyba na tyle z negocjacji – szepnąłem, wstając.

Nie mogłem go przekonać do kontynuacji siermiężnej pracy, a zmuszać go nie było sensu. To w końcu żywy człowiek, cud, że i tak tyle lat wytrzymał. Nie wiedziałem nawet jaki rytuał złamał i nie obchodziło mnie to. To był starszy człowiek, nie żadne leśne bóstwo, zwykły eremita, na którego przyszła pora. Zaś sama Akacja też nie była niczym, co mogło mnie zaniepokoić, nie wydawała się go niewolić, ani w inny sposób wykorzystywać. Właściwie to okazała mu empatię, a nawet miłosierdzie, którego nie doznałby od ludzi.

– Cóż, nikt nie powie, że nie próbowaliśmy się dogadać, prawda? – Szakłak zbliżył się do mnie. Uśmiechnąłem się pod maską, pokiwałem głową i poczułem nagły ucisk przy samej miednicy.

Szakłak chwycił za sakiewkę, którą sam mi wcześniej wręczył, odwiązał ją i odwrócił się z niezwykłą prędkością.

Pięść Szakłaka rąbnęła Akację w liściastą twarz. Kobieta osunęła się na ziemię z hukiem. Cały dom zatrzęsł się w posadach. Rozstawione na półkach rzędy książek przechylły się nagle i runęły z łoskotem.

Jałowiec kopnął stół kolanem i skoczył go leżącemu na ziemi lichu.

– Zostawcie ją! – krzyknął Żuczysko, wstając.

Jałowiec pchnął po prostu gospodarza bezwiednie, nawet nie obracając się, a ten trzymając się kurczowo krzesła, legł na posadzce.

– Bandyci – ryknęła z mocą Akacja. Jej oczy błysnęły jak ciosane kawałki malachitu. Humanoidalne ciało zaczęło powoli rozplątywać się i wracać do korzenistego systemu, oplatającego dom.

Było za późno. To nie były negocjacje. To była ewidencja komornicza.

Jałowiec kopnął leżącą na ziemi Akację. Jej głowa odbiła się od posadzki, a wszystkie pnącza zareagowały tak, jak reaguje ciało, gdy ośrodkowy układ nerwowy zostaje poważnie naruszony. Wnętrze chatki zmieniło się w roztrzęsioną, hałaśliwą jamę, pełną krzyków i nagłych uderzeń.

Masywny Chołownik wyjął swoje dwa noże i bez zawahania przybił ręce istoty do podłogi. Akacja rzucała się na boki, wierzgała wściekła, a w jej głosie dało się usłyszeć najprawdziwszy, ludzki strach.

Dopiero wtedy otrząsnąłem się z szoku, chwyciłem za Tokariewa i wymierzyłem w kierunku Szakłaka.

– Nic ci nie zrobiła – powiedziałem zdezorientowany, nadal niedowierzając w tak prędko rozwój wydarzeń.

Szakłak zignorował moje słowa, chwycił jedną ręką kobietę za twarz, a drugą przyłożył jej woreczek z białym proszkiem do ust.

Akacja jęknęła z bólu. Jej oczy jeszcze chwilę temu przepełniała niepojmowalna dla człowieka moc. Teraz były jedynie pełne łez.

Przyrządy celownicze pistoletu złożyły się idealnie na potylicy Szakłaka. Oczyma wyobraźni już widziałem, jak pocisk gładko przebija jelenią czaszkę, gumowe wypełnienie, a następnie ludzką zawartość...

I zostało to tylko w sferze wyobraźni, bo nie odważyłem się pociągnąć za spust.

Cały woreczek soli zniknął w jamie ustnej Akacji, która nie zdążyła opuścić swojej humanoidalnej postaci. Szakłak rąbnął ją pięścią w brzuch, kobieta zaczęła się dławić specyfikiem i w ostatniej chwili spojrzała jeszcze na leżącego, zapłakanego staruszka.

Dom niemalże podskoczył na fundamentach. Ciało leśnego licha zaczęło blednąć i pokrywać się siateczką pęknięć, przenikającą na wskroś rdzeń skomplikowanego systemu, jaki oplatał dziedzinę Żuczyska. Zaszuszone w mgnieniu oka istota zmieniła się w coś na kształt skarłalej łątki, ledwie cienia dawnej siebie, skrytej wewnątrz jałowego, pylastego kokonu, jakim się stała.

– Mordercy! – Gospodarz wstał, wyjąc jak opętany z bólu i gniewu. – Wichrzyciele, barbarzyńcy, wy... Wy... Przeklinam was! A żebyście szeptli w piekle. Niech ten Las rzuci na was każdą klątwę i zło, jakie zna. Obyście spędzili resztę wieczności, wydrapując sobie własne podbrzusza!

– Zabieramy martwodrzew – powiedział po prostu Szakłak – następna dostawa za miesiąc, nie spóźnij się tym razem.

– Nienawidzę was!

– Ktoś musi – skwitował Chołownik i wstał znad zniszczonej, czy może zamordowanej istoty. – A ty czegoś chcesz?

Spojrzał na mnie. Między trzęsącą się muszką i szczerbinką stale przepływały dwa wizjery jeleniego poroża. Mogłem strzelić, pewnie nie zdążyłby zareagować. Czy zdążyłbym postrzelić drugiego? Prawdopodobne. Czy mógłbym w wiosce skłamać, że coś ich zjadło? Tak. Czy gospodarz Suchego Gaju zeznałby na moją korzyść? Niewykluczone. Więc czemu nie strzeliłem?

– Zaczynicie pakować sanie – szepnąłem, wkładając pistolet Tokariewa do kieszeni płaszczu. – Chcę z nim porozmawiać.

– Teraz ci się zebrało na rozkazy? – spytał prześmiewczo.

Zbliżyłem się do Szakłaka. Nasze wizjery były tak blisko, że mogłem spojrzeć mu w oczy. Gdzieś tam, za maską z kości, szkła gumy i mantr ochronnych, chował się człowiek, bardzo zadowolony z tego co zrobił.

– Wiesz, co powiem Bieniaszowi, gdy wrócę z saniami bez was? Że sprawa została załatwiona zgodnie z wliczonymi kosztami.

Szakłak warknął pod nosem.

– A wiesz, co on mi odpowie? – dopytałem. – Dobra robota Drozd, tak to już u nas bywa, przywykniesz, Las jest niebezpieczny... Więc powiedz mi, proszę Szakłak, czy Las jest dzisiaj bezpieczny?

– Jest – mruknął, ewidentnie kalkulując szanse i inne rozwiązania. – Ale ty też nie myśl, że...

– Szakłak – przerwałem, sięgając do kieszeni. – Interesy lubią ciszę, uszanuj to.

Jałowiec wyciągnął z podłogi swoje dwa noże; na ich ostrzach nadal dało się dostrzec resztki spopielonego ciała Akacji. Wszędzie wały się resztki korzeni, schnących natychmiastowo i osypujących się drobinami perlistej soli.

– Pomożesz mi z drewnem – rzucił Szakłak do swojego towarzysza i obaj wyszli, uprzednio zabierając płaszcz, którym zasłonięto dziurę w drzwiach.

– Przepraszam za to co się stało – powiedziałem, patrząc na Żuczysko.

Gospodarz splunął w moim kierunku. Odruchowo sięgnąłem po Tokariewa, ale zaraz znowu po prostu rozłożyłem ręce. Tylko tego brakowało, bym sięgał po argument siły zamiast po siłę argumenty przy każdej okazji.

Nadal nie mogłem się uspokoić po tym, co widziałem.

Spojrzałem jeszcze raz na martwą Akację. Sól, karta przetargowa w negocjacjach. Zostało mi tylko zastanowić się, czy wiedzieli z góry, podejrzewali, czy to był po prostu ślepy traf jakich wiele? Cóż, konkluzja była prosta, miałem krew na rękach.

– Nie chciałem, by do tego doszło – przyznałem. – Nie wiem czym była Akacja, nawet nie wiem, czy naprawdę nie żyje, czy po prostu nie działa. Wiem tylko, a raczej... Wydaje mi się, że zabraliśmy ci kogoś bliskiego i to w imię bardzo niskich pobudek. I wiem, że wybierając między życiem tych dwóch, niemalże równie mi obcych ludzi co ty, wybrałem ich zamiast Akacji. Czy słusznie? Nie wiem, według mnie miałeś prawo żyć i umrzeć na swoich zasadach, obrzędy Chołów nie są moimi obrzędami. Przykro mi, że tak cię potraktowali i przepraszam, że na to patrzyłem.

– Po cichu liczyłem, że ona mnie zabije... Albo chociaż wy – przyznał nagle starszerek, patrząc gdzieś w pustkę.

– Słucham?

– Nie chcę żyć. Od lat nie chcę żyć, ale... Nie mogę się przecież zabić, prawda?

– Przez wygnanie, rozumiem...

– Nie, bo to grzech, śmiertelny grzech. Przecież tak nie wolno, ale... Każdego dnia budzę się i czuję, że słabnę, że wszystko mnie boli coraz bardziej, ale nadal jestem żywy i... I nienawidzę się za to. Tu jestem bezpieczny, to jest moja kara, tu mi się nie stanie krzywda, a sam jej sobie nie zrobię. Ogrzewacie się ciepłem, które mi zabraliście. Pytałeś, kto hoduje martwe drzewa, prawda? Cóż, teraz już wiesz, prawda? Jaki pan taki kram. To nie jest handel, to opieka paliatywna. Tu czas płynie tak powoli i tak smutno. Nie ma pogody, nie ma zawirowań w życiu, nie ma nic. Czasami w nocy słyszę, jak martwodrzew rośnie. Wiesz, jaki to jest dźwięk? To tak jakby trupowi wyrastały paznokcie. Powolne, skostniałe, szemrzące szuranie, drapanie, mikroskopijne skrzeczenie całego chóru martwych drzew. A ja jestem jego panem, Bogiem martwych drzew, żukiem gnojnym, toczącym niechciane fekalia tego świata, byście wy mogli żyć w czystym domu. Oto ja, Bóg gnojnarz, skazany na dożywocie wyłącznej chwały w znoju.

– Przykro mi...

– Udowodnij – syknął nagle, zbliżając się do mnie z wyraźnym trudem. – Nie chciałeś zabić tego bydlaka, nie chciałeś uratować Akacji, dobrze, uratuj chociaż mnie. Zabij mnie, daj mi odejść. Ja nie będę mieć na to odwagi, a nie wytrzymam kolejnej dekady tej katorgi, rozumiesz mnie? Zastrzel mnie!

Przez moment patrzyłem na niego w ciszy. Sięgnąłem po pistolet, przyłożyłem lufę do czoła starszaka. Jego twarz na najkrótszą chwilę wyrażała błogi spokój.

– Nie mogę – szepnąłem ze strachem.

Oczy błysnęły mu niedowierzaniem, wściekłością wreszcie desperacją.

– Nie masz odwagi mnie uratować.

– Nie... Nie mogę podjąć tej decyzji.

– Dlaczego? Ja tego chcę, rozumiesz, ja tego potrzebuję!

– Bo... To nadal samobójstwo? – wyraziłem przypuszczenie.

– Nieprawda, po prostu chcesz wrócić do domu i ogrzać się przy ciepłym kominku.

Masz gdzieś, przez co ja przechodzę...

– To nie tak...

– Zamykasz oczy na moje cierpienie, nie obchodzi cię, skąd się to wszystko bierze, gdzie jest źródło, jaki jest sens i przyczyna. Świadomie ignorujesz całe zło, by móc cieszyć się wygodą!

– Nie wierzę w twojego Boga, ale wierzę, że nie nabrałbyś go moją ręką – odpowiedziałem, nie wiedząc, czy sam sobie ufam. Schowałem pistolet z powrotem do kieszeni i miałem nadzieję, że po raz ostatni. – Jeśli chcesz to zrobić, dam ci go. Nie próbuj przerzucić na mnie swojego sumienia, sam ledwie dźwigam własne.

– Niczym się od nich nie różnisz! – wysyczał ze złością.

– Nie wiem, pomyślę nad tym, gdy przestanę być trzeźwy – przyznałem po prostu i skierowałem się do wyjścia. Ostatni raz rzuciłem okiem na pobojowisko w głównej izbie i przechylone ściany, oblepione zaschniętymi pnączami. – Podrzucę ci do następnego transportu jakieś zadośćuczynienie, nie wiem jeszcze jakie.

Żuczysko nic nie odpowiedział, po prostu załkał i uklęknął obok zwłok Akacji, zbierając szary proszek jego ciała do plastikowej doniczki.

Sanie szybko wypełniły się równo ściętymi belami szarego drewna o mlecznobiałej korze. Jałowiec i Szakłak patrzyli na mnie zza wizjerów z wyraźną niechęcią. Ich ruchy były krótkie, wyuczone, niemalże mechaniczne. Spotkanie pozostawiło gorzki smak w ustach każdego i z trudem mogłem pomyśleć, że w jakimkolwiek stopniu cel wyprawy został zrealizowany z zadowalającym efektem.

Tym bardziej nie zdziwiło mnie, gdy Kajetan wyszedł przed swój dom, trzymając w dłoniach cienką tackę, na której parowały dwa ceramiczne kubki. Rozejrzał się jeszcze po okolicy i skrzywił z niesmakiem. Najwyraźniej pan Suchego Gaju nie musiał nosić maski, bo i tak był tu uwięziony w ten czy inny sposób.

– Przekażcie, proszę, sołtysowi, że... Że po prostu potrzebuję tu więcej leków przeciwbólowych i może cukru, jak się uda oczywiście.

Szakłak spojrzął z wyższością na zasuszonego staruszka, na którego twarzy nadal dało się dojrzeć ślady łez i resztki pyłu. Widok był co najmniej przykry, by nie rzec, że zwyczajnie gorszący. Widziałem bezsilność w oczach gospodarza gaju.

– Jeśli będzie trzeba, sam je przyniosę – wyszeptalem gorliwie, bo nie byliśmy już przecież w bezpiecznym mirze domowym.

– Ty się możesz wypchać inteligencje, widać, że to panowie tu decydują.

Jałowiec spojrzął na Szakłaka, który mruknął zadowolony. Obaj sięgnęli po herbatę i przez moment wgapiali się w jasny, mleczny wywar.

– Pomyślimy, nie nastawiaj się – odparł Szakłak, odpiął ustnik i wypił łyk herbaty.

Drugi z Chołowników zwlekał chwilę, ale i on równie bez słowa co zwykle napił się herbaty, przelknął i w ostatniej chwili się zreflektował. Jałowiec puścił kubek, sięgnął po nóż, ale jakoś wolniej niż zwykle. Zacisnął dłoń powolutku, niemalże powłóczyłym ruchem i jął wyciągać broń.

Szakłak drgnął, pochylił się, ospale włożył trzy palce w przełyk i zastygł w tej przedziwnej, niegodnej pozycji.

W mig spostrzegłem, że stoję obok dwóch, zaschniętych, białych figur o porowatej cerze i drobnych, szarawych naroślach.

– Pycha kroczy przed upadkiem – szepnął Żuczysko, zbierając kubki z ziemi. – Wielka tragedia, że niewinność, choć nie zaistniała, mogła.

Pan Suchego Gaju obejrzał jeden z kubków i nagle wylizał jego wnętrze długim, czarnym językiem. Jego oczy błysnęły jak grudki lodu, wystawione pod słońce. W jego twarzy było już nie starcze, przytłoczone znużenie, a jakaś nienaturalna powaga, kojarząca się prędzej ze spojrzeniem sępa, baczącego na świat z gałęzi.

– Tradycja jest ważna chłopaku. – Gospodarz zdawał się nie bać, mówić w swoim ogrodzie, ja wolałem milczeć, pamiętając, czym to grozi w Lesie. – Jeśli wychowałem się w Chołach i złamałem ich tradycję, dobrze, niech będzie. Ich tradycja, ich kara, ucziwie. Jednakże ten gaj jest mój, czy to się im podoba, czy nie. Dali mi go, dali ze słabości, dali z

lenistwa i teraz ponoszą tego konsekwencje. Moje dominium też ma swoje zasady, reguły, tabu... I ma też swoje kary. Będą mieli dużo czasu, by się nad nimi zastanowić.

Żuczysko zbliżył się do zaschniętego Szakłaka, wtulił głowę w jego skamieniałą pierś i uśmiechnął się dziwnie, wskazując mi coś.

Przyłożyłem ucho i z przerażeniem odkryłem, że z wnętrza nowopowstałego posągu rozlega się stłumione, powolne bicie serca. Spojrzałem na twarz Szakłaka i przez warstwę skamieniałej maski mogłem dostrzec zastygnięty szok i resztki zrozumienia, gdy próbował zwrócić niefortunny napar.

– Dla tych, którzy biernie się przyglądają, też jest kara – syknął w moim kierunku, aż krople lodowatego potu skondensowały mi się na karku. – Umowy są po to, aby ich dotrzymywać, nie chcę od ciebie wymagać czegoś, czego nie jesteś w stanie zrobić. Po prostu weźmiesz te sanie i zaciągniesz sam do wioski. Nie próbuj nawet uszczknąć kawałka, ani rzucić na bok drogi. Szkoda byłoby poświęcenia tylu ludzi, prawda?

Przytaknąłem i wzdrygnąłem się, gdy tylko Kajetan wyszczerzył zęby.

– Nie cieszy mnie to, ale sycę się sprawiedliwością, ruszaj.

Nie czekając na dalsze słowa zachęty albo inną, mniej kulturalną formę pomocy, chwyciłem za sznur i pociągnąłem z całej siły. Sanie ledwo drgnęły, naparłem mocniej i dopiero wtedy ruszyły z miejsca, trąc i sunąc minimalnie po twardej ziemi.

Pamiętam tylko tyle, że najgorszy był początek, bo wszystko zdawało mi się wprawdzie niemożliwie trudne i ponad moje siły. Praca fizyczna na granicy wykonalności, cała moja siła w zamian za minimalny postęp jednoosobowej karawany. Wynoszenie drewna z Lasu było swoją drogą cholernie frustrujące na zasadzie takiej magii sympatycznej. Niby wiedziałem, że całe wydarzenie było bardziej skomplikowane, ale mój prosty, ssaczy mózg i tak uporczywie co kwadrans pytał, czy nie mogę wyrzucić tego drewna i nazbierać znowu na granicy, tuż przed wioską. Cóż, to nie było tylko drewno, a i przysięga wobec Żuczyska, choć czysto symboliczna, zdawała się wiążąca.

Gdy tylko opuściłem Suchy Gaj, wrócił śnieg. Boże jak ja się ucieszyłem. Nagle sanie wydawały mi się o połowę... No może o ćwierć wagi lżejsze. Zgrzytanie zmieniło się w przyjemne dla uszu szuranie. Świat przeobraził się w płynący wolno pejzaż, byłem tylko ja. Otwarte morze bieli, jeden człowiek i szalupa sań.

Wracałem po własnych śladach, dozując powoli pożytki. Nie ma nic gorszego niż wypadnięcie z dryfowania przez panikę. Skupiałem się na jakiejś prostej rymowance, pozwalającej zapaść w trans. Tak, mógł się czaić w drzewach czy pod śniegiem lub w osnowie nicości i wyrwie czasoprzestrzennej jakiś drapieжник. Cholera, równie dobrze mógł

mnie sam bóg ściągnąć z któregoś z pięter lub zwyczajne stado całkowicie niewyjątkowych wilków zagryźć. Jednak rozglądając się za drapieżnikami najpewniej i tak żadnego bym nie dojrzał, a stres i rozkojarzenie tylko wzmacniałyby prądy grawitacyjne, ciągnące ku ośrodkom ciężkości pięter.

Wioskę niemych Lisów minąłem z nieco mniejszym entuzjazmem i zaczarowaniem niż poprzednim razem. Ucieszyło mnie to, że się nie zgubiłem. Ot taki punkt orientacyjny na drodze. Miałem wrażenie, że mierzyli mnie wzrokiem, oceniali, zupełnie tak, jakby kusila ich perspektywa napaści, wynikająca z samej tylko takiej okazji. No, ale cóż, nie czytałem im w myślach, nie mogłem wiedzieć, czy tak było, dumałem z nudów.

I nawet odchodząc, miałem wrażenie, że stale na mnie patrzyli, zupełnie tak, jakby jeszcze chcieli mnie zatrzymać. Kilku z Lisów podeszło bliżej, jeden nawet zbyt blisko, schylając się i zaglądając pod plandekę, jakby szacując ilość nagromadzonych materiałów i potencjalnych łupów.

Odruchowo sięgnąłem po pistolet. Lis stanął dęba, cofnął się o dwa kroki i jakby w ramach pokazu sił położył ręce na długim, cisowym łuku. Nawet nie zastanawiałem się, czy ten łuk pochodził sprzed czasów Lasu, czy po prostu był okupiony jakąś wyjątkowo durną tragedią, w której za jedno drzewo wymienili jednego człowieka.

Co za pieprzone getto, pomyślałem, jeszcze mnie tu zabiją te miejscowe lumpy. Żeby nawet w Lesie istniały takie miejsca. Łomot giętej blachy i syk palników dobitnie świadczył o tym, że nie żyli, aż tak w zgodzie z naturą, jakby chcieli. Czy może natura miała ich po prostu gdzieś większość czasu, a to było ich największe osiągnięcie? A może w Lesie jest więcej niż jedna natura.

Na tego typu rozważaniach minęły mi kolejne długie chwile ciągnięcia nieszczęsnych sań. Dopiero później uznałem, że zasługuję na chociaż chwilowy oddech. Lina wżynała się w palce nawet mimo rękawiczek. Najbardziej to chyba bolały mnie plecy.

Przez moment myślałem nad tym, co powiedział mi Żuczyszko, czy może Kajetan, że przywilejem autochtonów jest ustanawianie reguł i kar. Dziwne podejście, ale z takiej filozofii wyszedł chyba kiedyś Pień, gdy zamiast połamać mi kolana, poczęstował herbatą z miodem, ta, to były dobre chwile. Cóż, jeśli Żuczyszko miał rację, to znaczyło, że ostatecznie nadal istniały lokalne łańcuchy żywienia, w których najsilniejsi drapieżnicy i stworzenia matecznika były bóstwami. Każdy jest mocny, gdy nie rusza się ze swojego legowiska.

Poszedłem na tyły swojej jednoosobowej karawany, by sprawdzić stan zaczepów przy plandece. Oparłem się o brezent i zacząłem gmerać przy sprzączkach.

To nawet zabawne, pomyślałem, teraz jestem ślimakiem z ruchomym domem i wracam od żuka.

Wpierw był świst, nagłe uderzenie, ciskające moim ciałem na pakę sań, a dopiero potem kłujący, pulsujący ból. Z lewej łopatki wystawał mi długi promień strzały o brzechwie z kolorowych piór.

– Jasna cholera! – krzyknąłem i szybko ugryzłem się w język. Strzała w ramieniu to jeszcze nie powód, by krzyczeć w Lesie, zwłaszcza na trakcie pełnym drapieżników.

Rzuciłem się wzdłuż sanek, niemalże ciągnąc zeszywniałą rękę za sobą. Kolejna strzała minęła mnie minimalnie, a właściwie to nie. Dopiero gdy odleciała, zrozumiałem, że po prostu zrykoszetowała z jeleniego poroża. Ktoś miał dobre oko. Dobre oko i bardzo nikczemną motywację.

Przywarłem plecami do barierki, o którą opierała się część ładunku. Gdzieś obok świsnęła kolejna strzała. Próbowałem nie dotykać niczego lewym ramieniem, z różnym skutkiem, aż w końcu syknąłem wściekły i ułamałem strzałę, nie mając dość odwagi, by ją po prostu wyjąć.

Aha, to takie buty, pomyślałem, człowiek nastawia się na duchowe przeżycia i poznawanie arkan zaświatów, a zostaje ciągnięcie sanek z opalem i kiepski western z napadem na karawanę.

Sięgnąłem po pistolet i zamarłem na moment. Strzelić głupio, nie strzelić chyba jeszcze gorzej. Na próbę wyciągnąłem TT-tkę, spróbowałem wycelować i od razu schowałem się z powrotem.

Mknący grot przeleciał dokładnie tam, gdzie ćwierć sekundy wcześniej była moja grdyka. To nawet nie byłaby kwestia tego, czy bym przeżył, ale jak długo bym umierał.

Mogłem skoczyć na inne piętro i liczyć, że łowca nawiguje po piętrach gorzej niż ja, na co szansa była raczej niewielka. Zresztą, zostawienie całego ekwipażu też nie było żadnym zwycięstwem.

Kolejna strzała sfrunęła od lewej, wbijając się tuż obok mojego buta.

– No co za franca – mruknąłem niemalże bezgłośnie.

Przesunąłem się nieco w bok, wiedząc, że zaraz przeciwnik wypadnie na nowy kąt i zacznie szyć z flanki, sam bym tak zrobił, a ostatnia strzała poszła nieco ostrzejszą trajektorią. Nie miałem zamiaru dać się zrobić w tak prosty sposób.

Sięgnąłem po puzderko z pożytkami i wybrałem mniszek lekarski. Słabizna taka, że zupy bym tym nie doprawił, a dawka co najmniej wstydliva, czyli mógł spełnić swoją rolę.

Wziąłem głęboki oddech z bławatka przez nozdrza, wrzuciłem przez ustnik rozdrobnione kawałki mniszka i przytrzymałem je do zębów językiem.

Świat zmienił się momentalnie. Dwie klisze filmowe życia nałożyły się na siebie, zmieniając rzeczywistość w półprzeźroczystą marę.

Wstałem, sięgnąłem po sierp i obejrzałem się w kierunku, z którego leciały strzały. Żyjącym okiem dostrzegłem wyraźnie jak lisia maska przyobleczona w warstwy czarnego futra, trzyma długi, cisowy łuk z naciągniętą strzałą. Był piętro nade mną.

Bach! Puścił, grot przeleciał przez moje ciało, poruszając się w innym, siostrzanym planie czasoprzestrzeni.

Rzuciłem się w kierunku łuczника i w ostatniej chwili dostrzegłem, jak drgnął i zgiął się, w oczekiwaniu na uderzenie. Cholera, domyślny był.

Wyplułem mniszek i wziąłem kolejny, głęboki wdech przez nozdrza. Ciąłem szeroko sierpem, celując w mostek.

Ostre jak diabli narzędzie przeniknęło przez sylwetkę Lisa. Nagle świat zafalował, a piętra scaliły się w jedno. Nie wiem, kto był bardziej zdziwiony, ale obaj przez najkrótszą sekundę patrzyliśmy się na siebie w bezruchu.

Przekręciłem sierp, już miałem ciąć przeciwnika znowu, ale ten ordynarnie kopnął mnie w krocze. Zgiąłem się, odmachnąłem ostrzem na postrach, ale Lis chwycił mnie za rękę i wykręcił nadgarstek.

– Dogadajmy się – na poły szepnąłem, na poły syknąłem z bólu.

Lis trzasnął mnie pięścią w twarz. Poleciałem jak długi w śnieg, plamiąc go krwią, ciekącą z przestrelonego barku.

Spróbowałem jeszcze z pozycji ziemi kopnąć Lisa pod kolano, ten jednak cofnął się o krok i zamierzył do własnego uderzenia. Nagle jednak stanął dęba; gdyby lisie uszy nie były jedynie częścią maski, to na pewno zastrzygłby nimi, nasłuchując.

Zamknąłem oczy, czekając na cios, ale zamiast tego pojawiło się coś znacznie gorszego. Ryk, głęboki, basowy, strząsający śnieg z drzew. Znajomy dźwięk.

Lis cofnął się o dwa kroki. Obróciłem się i przewróciłem na prawy bok, dalej leżąc w wilgotnym puchu.

Gigantyczny niedźwiedź był ledwie kilka kroków od nas, buchając purpurową parą z nozdrzy. Przerażające, że tak wielki drapieżnik potrafi tak szybko przenieść się między piętrami, wyszukując zwierzynę na swoim terytorium.

Na moment ja jak i Lis staliśmy się sobie bliscy. Obaj reagowaliśmy instynktownie, zgodnie z naszymi starożytnymi, gadzimi mózdkami. Trwaliśmy w bezruchu, licząc na to, że wielki łowca nas nie znajdzie.

Marzenia ściętej głowy.

Olbrzym zbliżył się do mnie i ryknął mi prosto w twarz. Jelenia czaszka zadrżała, drapiąc mnie po skroni. Wizjery pokryły się śliną i gorącą parą. Świat stał się jedynie siwą plamą, w której dźwięki grały pierwsze skrzypce.

Ciężki oddech niedźwiedzia, masywne człapanie, dyszący ze strachu Lis, skrzypiący pod nami śnieg i wszechogarniający, pasywny nacisk Lasu.

Gigant rzucił się naprzód. Zgiąłem się w kłębek, czekając na uderzenie. Drapieznik potracił mnie wielką łapą, beznamiętnie odrzucając o dobry metr.

Rozbrzmiał krzyk, a to naprawdę niezwykle dźwięk w Lesie. Lis krzyczał krótko, wybrzmiał trzask łamanych kości i chrapliwe mruknięcie mięsożernego tytana.

I cisza, długi czas cisza.

Nie wstawałem, aż do momentu, gdy zdołałem sam siebie przekonać, że to się stało naprawdę. Może to już halucynacje, a może zmęczenie, ale wiedziałem, że właśnie byłem świadkiem prymitywnego okrucieństwa, łamiącego wszelkie bariery kulturowe.

Lis żyjący tak pasywnie, biernie w obliczu natury. Lis, który przyniósł z obcego świata własny szacunek dla Lasu i jego stworzeń. Pożarty, tak po prostu. Nie ja, industrialny śmieć, odpad brutalistycznego miasta. On został pożarty, nie ja... Boże. Żadnej sprawiedliwości, żadnego osądu, żadnej symboliki. Po prostu głodny drapieznik, kierujący się jakimś zapachem albo innym pierwotnym instynktem. Wziął tyle, ile potrzebował. Prawdziwe bóstwo Lasu, rudymenarne, proste, pozbawione wyższego celu. Takie, na jakie sobie zasłużyliśmy.

Zająłem się raną na tyle, o ile warunki pozwoliły. Nie śpieszyłem się, bo jedyny drapieznik w okolicy był właśnie zajęty. Po cichu cieszyłem się, że leśny autochton nie pokrył grotów strzałą jakąś trucizną. Sam miałem taki pomysł, wysmarować silnym pożytkiem sierp i jednym ciosem posłać kogoś w psychodeliczną podróż między światami, zanieczyszczając jego krew. Ta, plan był, a dostałem zwykły, uliczny łomot.

Śnieg zaskrzypiał pod butami, sznur zajęczał, rozciągając zmarznięte włókna. Sanie ponownie ruszyły z miejsca.

W końcu dotarłem do granicy Lasu. To zawsze jest takie nagłe, nacechowane ledwie wyczuwalnymi, drobnymi poszlakami. Coś się zmienia, nawet nie w powietrzu, a w ciśnieniu, które wywiera nacisk na ramiona. Aż w końcu drzewa się kończą, tak po prostu,

jak ucięte nożem. Człowiek ma wrażenie, że jakby się obrócił i zaczął iść z powrotem, to wszedłby po prostu do zwykłego lasu, ale to nieprawda, złudne i głupie wrażenie.

Był dzień, ranek. Dziwne, nie było mnie tylko chwilę, czy całą dobę albo więcej przesiedziałem w Lesie? A może ciągnąłem te sanie w nocy i nawet nie zauważyłem...

Z daleka widziałem poruszenie, drobne, czarne kropki ludzi, podających sobie informacje od jednej do drugiej. Tak, na wiosce zawsze wieści rozchodziły się natychmiast i to bez telefonów.

Czekałem jakiś kwadrans, ale nikt po mnie nie wyszedł. Liczyłem, że chociaż pod koniec pomogą. Ponoć ostatnie kilometry przed domem najczęściej zabijają podróżnych.

Naparłem na sznur, nagle wydał mi się jeszcze bardziej szorstki, twardy, nieprzyjemny. Sanie ruszyły ciężko, ospale, a nawet nie, wręcz opornie, jakby celowo chciały mi przeszkodzić pod koniec trasy.

Wreszcie dociągnąłem ładunek do ostatniej, nieformalnej granicy wioski, gdzie czekał Bieniasz z kilkoma Chołownikami bez masek.

– Mogliście pomóc – powiedziałem.

Bieniasz wskazał bez słowa na boki. Po jego jednej stronie stała figura maryjna, którą obrastała uschnięta róża. Druga kapliczka była karykaturalna, jak siostra z kazirodczego związku, podstawa z opony traktorowej, otoczka starej kabiny, a wewnątrz istota z błota i gliny oraz spróchniałego drewna. Błużnierzka kapliczka przyglądała mi się jednym, czerwonym okiem z szybki, która ktoś przyozdobił żółtymi płatkami.

Ukloniłem się w obu kierunkach, zmówiłem dwie, krótkie modlitwy i wreszcie zdjąłem maskę, by zaczerpnąć głęboki, czysty oddech.

Pachniało palonymi śmieciami i inwentarzem rolnym.

– Powiedz mi chociaż, kto ich zabił? – rzucił sołtys, w myślach już łając się za to, że w ogóle mnie poprosił o pomoc.

– Ty – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Rachunek przyślę pocztą albo wyślę trójskrzydłym krukiem czy innym takim magicznym syfem.

– Drozd... – odwarknął.

Splunąłem w śnieg i minąłem obstawę sołtysa. Wreszcie mogłem w spokoju pomyśleć nad tym, co się stało, ale szczerze to miałem to gdzieś. Wróciłem, motywując się jedynie własnym gniewem i obietnicą wobec Żuczyska, czy może w strachu przed klątwą, którą poniekąd na mnie rzucił.

– Patrz pan jaka przykrość – rzuciła stara Flisakowa, łapiąc mnie przed furtką.

– Tak bywa, proszę pani...

– A jeszcze wczoraj był taki zdrowy i dzieciaki się śmiały!

Spojrzałem pytająco, bo czułem, że rozmijam się w tematach.

– No co, koń zdechł! Jeszcze wczoraj kulig ciągnął, a rano padł!

– To trzeba znaleźć innego konia, ktoś musi ciągnąć kulig – odparłem bez przekonania i przesunąłem skrzypiącą furtkę.

Nie chciało mi się jej naprawić, a denerwowała za każdym razem. Nie czułem się na posesji Romka jak u siebie, więc nie przywiązywałem się do takich rzeczy.

Zamknąłem za sobą drzwi na klucz, zdjąłem płaszcz i nim porządnie zabrałem za opatrzenie rany, spostrzegłem smętną paproć na parapecie. Nadal żyła, choć nie wiem jakim cudem, po takim czasie posuchy.

Podlałem ją szczydrze i przestawiłem w bardziej nasłonecznione miejsce. Przykro tak siedzieć samemu i hodować martwe rośliny.

- Jan Lutze
- Paul Troffke
- Rafał Krzyżanowski
- Michał Misztal
- Kamil Szyłkiewicz
- Wirginia Jankowska
- Wiktor Ordon
- Marcin Ostoja-Helczyński
- Barry Lidders
- Michał Nowak
- Adam Orlicki
- Anna Myszkiec
- Salai
- Katarzyna Gabrysz
- Rafał Rogoziński
- Janek Buszkiewicz
- Kacper Paczyński
- Michał Nowicki
- Monika Zajączkowska
- Dawid Furmanek
- Paweł Gągała
- Sebastian Pasterniak
- Maciek Pernal
- Kamil Maciasz
- Jędrzej Wawrzeń
- Marzena Sieprawska
- Kamila Ostrowska
- Łukasz Kulwicki
- Mikołaj Żelewski
- Julia Osiecka
- Piotr Abramik
- Iwona Pułanecka
- Jan Jaśkowiec
- Damian Adamczak
- Maddie11
- Anastazja Łomot
- Tomasz Ryczaj
- Jan Kubik
- Jan Brzozowiec
- Przemysław Kwaśnik
- Filip Szyjakowski
- Patryk Bernardelli
- Weronika Sroga
- Jakub Witczak
- Albert Pasierowski
- Zuzanna Żychowicz
- Jędrzej Ziółkowski
- Szymon Walczak
- Wawrzyniec Sokołowski
- Jacor Kracor
- Konrad Pindel
- Jakub Pietrek

- Maciej Więckowski
- Tobi Trojan
- Maria Mróz
- Mateusz Piórkowski
- Tobiasz Tomaszewski
- Piotr Niedziałek
- Julia Tomasiak
- Marcel Szubartowski
- Klaudia Tuszyńska
- Kuba Mokrzycki
- Joanna Hereda
- Wiktoria Słocińska
- Maciej Kośnik
- Przemysław Szopa
- Jakub Paciorkiewicz
- Dominik Pukos
- Kacper Kamieniarz
- Julian Pawłowicz
- Adam Kozak
- Maciej Żbik
- Emil Jankowski
- Bartosz Romanowicz
- Daria Dubińska
- Inga Mikulska
- Albert Płusa
- sp9119
- Alan Kapłon
- Adam Orzeszek
- Baszczura
- Grzegorz Dombrowski
- Barbara Konopka
- Weronika Jaśkiewicz
- Jakub Pierzak
- Jakub Rogala
- Jan Guzik
- Cyprian Perepeczo
- Michał Lipski
- Mateusz Wyszyński
- Jacek Kloss
- Marcin Gepner
- Karol Szewczyk
- Kate Turwon
- Damian Bociek
- Ania Jędrowiak
- Ada Benio
- Filip Siuda
- Paulina Chodyra
- Dawid Klose
- Dominik Kucharski
- Kamil Sobczyk
- Mikołaj Stężycki-Wojtasiak
- Jakub Sawicki

- Przemek Piotrowski
- Cezary Kubiński
- Karol Kamiński
- Mikołaj Trawiński
- Anna Dubec
- Krzysztof Kwiatek
- Julia Świerkot
- Mikołaj Matusiak
- Klementyna Świącicka
- Kordian Rogalski
- Eryk Kawecki
- Maria Kabala
- Oskar Archi Nowogórski
- Sebastian Frączyk
- Ola Giedroń
- Maciej Musiał
- Wiktoria Kaczmarczyk
- Jan Bąk
- Katarzyna Marciniak
- Tymoteusz Całka
- Natalia Kowalska
- Rafał Gomola
- Michał Dzierwa
- Stroku
- Jakub Cisko
- Zuzanna Obajtek
- Jakub Strugała
- Ola Gościcka Kacza
- Daniel Styś
- Emilia Wyciślak
- Tomasz Pasterz
- Bartosz Pachelski
- Katarzyna Abyszkin
- Dominik "Tokar"
Tokarski
- Magdalena "Zir" Łysoń
- Anna Kołodziejek
- Piotr Żurkowski
- Klaudia Dyczyńska
- Konrad Stecko
- Agred
- Wojciech Zych
- Weronika Matuszczyk
- Patryk Frączek
- Jacek Sproch
- Dariusz Gwizdak
- Marta Kłapa
- Ruslan Smolarczuk
- Daniel Kowalewski
- Szymon Urzędowski
- Królowa Julia
- Alan Abramowski

- Tomasz Płoskonka
- Konrad Kordylasiński
- Szymon Trusewicz
- Mateusz Baczyński
- Maciusiek
- Wojciech Dąbek
- Miłosz Dunikowski
- Krzysztof Negacz
- Julia Podgórska
- Kacper Jaśkiewicz
- Edmund Kukowski
- Damian Kurek
- Michał Orzolek
- Tomasz Kisiel
- Jakub Hukiewicz
- Paweł Etmański
- Maciej Knap
- Mikołaj Roszczyk
- Stomolko Connor
- Kazno De
- Łukasz Strzyżewski
- Dorota Dzikowska
- Kamil Adamczak
- Daria Sawicka
- Izabela Kajmowicz
- Marta Niedźwiecka
- Maciej Chrobok
- Darek Mytych
- Piotr Walasik
- Janek Kozak
- Kacper Oleszak
- Tymoteusz Tuttas
- Bartosz Chamera
- Tymoteusz Zięciak
- Konrad Kowalczyk
- Michał Raczek
- Piotr Wiśniewski
- Dawid Owczarz
- Stanisław Lem
- Arkadiusz Kostuniak
- Karol Zaborowski
- Tomek Napierała
- Piotr Ponewczyński
- Łukasz Biernat
- Jakub Czarkowski
- Jakub Kloka
- Grzegorz Wójcik
- Katarzyna Wysocka
- Mateusz Czernicki
- Monika Brzyska
- Magda Pakuła
- Robert Wasielewski

- Piotr Gramiak
- Aleksandra Stec
- Paulina Kozak
- Marcin Walkowiak
- Michał Dolinowski
- Wiktor Godlewski
- Leszek Wroński
- Mateusz Kuźniak
- Jan Szczepaniak
- Bartosz Gruszczyk
- Adrian "Tuńczyk"
Morski
- Grzegorz Samson
- Krzysztof Szostak
- Karolina Szyłkiewicz
- Mateusz Nowacki
- Robert Solski
- Lona Wu
- Maks Joniec
- Michał Mierzyński
- Kuba Malicki
- Tash Lisiecki
- Kris Vian Karczemskie
- Szymon Szkutnik
- Weronika Ślęzak
- Aleksandra Michalec
- Mariusz Witkowski
- D. Kl.
- Julian Wypychowski
- Mateusz Karczewski
- Mateusz Pawlak
- Sonia Bernatović
- Kacper Krej